CENA 50 GR. 9-II-1935 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WARSZAWA * SOBOTA * 9 LUTEGO 1935 ROKU * ROK TRZECI * NUMER 6 (71)

CZY KULTURA „DORABIA SIĘ CZŁOWIEKA" — CZY CZŁOWIEK „BUDUJE KULTURĘ"?

Nie wiem, czy jako rezultat zbytniego „uproszczenia pojęć", — czy też poprostu naskutek ich pomieszania, wydarzył się *Atak na kulturę* ze strony *Myśli Narodowej* w artykule p. Z. Wasilewskiego pod powyższym tytułem.

Jeden z moich szanownych kolegów, profesor U. W., twierdzi, że tego rodzaju wypady publicystów w mało im znane tereny pomija się milczeniem. Mimo to poświęcam tej materji słów parę ze względu na zagadnienia poruszone tak mętnie przez p. Wasilewskiego.

Czem jest więc według wyobrażenia, lub raczej według wielu różnych, sprzecznych ze sobą wyobrażeń. autora „ataku" kultura? — Jest „skalą życia wewnętrznego" — jest „sprawą jakości, jak charakter, nie ilości, jak wiedza" (biedna wiedza polegająca jedynie na ilości?!); jest „sprawą dobrego układu duszy na każdym poziomie cywilizacji". Tu autor jakgdyby potrąca o mickiewiczowskie (w *Księgach Pielgrzymstwa*) przeciwstawienie kultury i cywilizacji. W innem jednak zdaniu powiada, że kultura jest najcenniejszym kapitałem właśnie cywilizacji, więc o przeciwstawieniu sobie tych dwóch pojęć mowy być nie może.

Zwęża się też, to rozszerza w sposób dowolny w ciągu artykułu zakres pojęcia kultury. A więc np. sprawca „ataku" zdaje się nie zgadzać z tem, ażeby nazywać kulturą „pewien tylko dział wytworów z ducha, jak nauka, literatura i sztuka. Czemuż nie inne także dziedziny twórczości: polityka, ekonomika, technika?" — Zgoda, z tem tylko zastrzeżeniem, że przecie wszystkie bez wyjątku wyniki twórczości ludzkiej są „z ducha", — zarówno cep jak samolot, symfonja Beethovena i gazy trujące, *Boska Komedja* i paszkwil oszczerczy o wielkim uczonym i najprawszym człowieku, ogłoszony w gazecie w dzień Jego pogrzebu.

Chodzi tylko o to, że właśnie „duchy" tworzące i przetwarzające kulturę są różne w swej jakości: są wzniosłe i poziome, czyste i nieprawe, a to się odbija na strukturze treści i formy wytworów.

A więc: „ekonomika" i „technika" mają być „nazywane" kulturą? W trakcie dalszym artykułu okazuje się jednak, że dla nich miejsca niema. Ze względu zapewne na taktykę bojową zostają one złożone do arsenału — jako sprzęt niepotrzebny widocznie, i okazuje się, że kultura, choć nie jest „jakimś fragmentem (?!) potrzeb(?) czy twórczości, lecz całością", jest całością tylko „bytu duchowego"; — nie jest dobrem rzeczowem poza nami, jest natomiast „właściwością wewnętrzną". Boryka się też autor z pierwotnem, konkretnem znaczeniem łacińskiego słowa *cultura*. Ponieważ orka w polu sczezła z horyzontu, więc „kultura" staje się tylko „uprawą duszy", lub też dla odmiany plonem tej uprawy.

*

Tak więc widać wyraźnie, że samo znaczenie wyrazu kultura w rozważaniach autora pozbawione jest treści jednoznacznej, co pozostaje niewątpliwie w związku z niezdawaniem sobie sprawy przez autora z tak zasadniczej kwestji jak ta, czy kultura „dorabia się człowieka", czy też człowiek buduje kulturę. W pewnych zdaniach artykułu ulega bowiem kultura antropomorfizacji i „musi wpierw dorobić się człowieka przez uprawę jego przyrodzonych instynktów". Trzeba się zdecydować albo na jedno, albo na drugie: albo ludzie są twórcami i przetwórcami kultury, przekazywanej w ciągu dziejów swego bytowania z pokolenia na pokolenie, od grupy do grupy i t. d., albo też kultura „dorabia się człowieka". Albo ludzie, wychowani zgodnie z tradycjami pewnej kultury „chłoną" nowe elementy i w związku z tem ją przetwarzają, albo też cechę kultury stanowi jej „samorzutna chłonność"? Co oznacza też zdanie, że „kulturze jest właściwa zasada organiczności"? Czy mamy tu do czynienia z echem systemu organicznego Comte'a, czy też z wizją fikcyj organomorficznych z epoki pozytywizmu? — A potem: pomimo tego chłonnego, w myśl słów autora, samorodztwa kultury, okazuje się, że człowiek i w jego rozumieniu odgrywa pewną rolę w procesach kultury, ponieważ jest ona „zdobyczą, jaką osiągnęło życie duchowe jednostki, grupy, czy całości społeczeństwa", — jest również „naddatkiem (może wykładnikiem, dlaczego tylko naddatkiem?) dziejów całego środowiska narodowego, dziejów rodu przez dziedziczenie, dziejów osobistych przez wychowanie..." i t. d.

Niespodzianie, wbrew temu, co sam autor mówił przedtem, wypływa jeszcze uwaga, że nie należy kultury „robić od końca". Tem samem dopuszcza więc p. Wasilewski możliwość robienia kultury?! Nietylko robienia, ale i tworzenia, z czem w związku stoi i termin, również przez autora użyty, zgodnie z nauką prof. Twardowskiego: „wytwory".

A jeśli ludzie „robią" i „tworzą" kulturę, dlaczego nie mają jej „budować", a nawet, jeśli kto ma ku temu wolę i chęci, „rozbudowywać"? Mówi się przecie nietylko o budowie miast i wsi, lecz również i o budowie zdania?

Pozostaje jeszcze jedno zagadnienie, rozpływające się także w mgle niejasności, zagadnienie, dotyczące dynamiki przekazywania i szerzenia wśród społeczeństw wytworów kultury. Czy szerzą się one „samorzutnie", czy wsiąkają w społeczeństwo jakby przypadkowy osad historji, poza działaniem woli i świadomości ludzkiej? — Nie, tak przecie nie jest. Przekazywanie kultuty, czy jej elementów, odbywa się w sposób zorganizowany zarówno u tak zwanych przez nas ludów pierwotnych, jak i u narodów o wyższych poziomach kultury. Czy to przekazywanie jej dorobku bywało i jest zawsze sielanką, bez wszelkiego przymusu? Chyba niezawsze tak. Przypomnijmy sobie choćby wtłaczanie młodszego pokolenia w schematy naszej kultury przez wieki długie jej dziejów, i „różdżkę, którą duch święty dziateczki bić radzi", i tradycjonalistyczne metody w tym zakresie angielskie, różne obrzędy inicjacyjne u ludów pierwotnych i t. p. A jak wygląda przy bliższem wniknięciu w dzieje proces tworzenia „wielkich stylów historycznych" Ludwika XIV i jego współpracowników, Napoleona I-go i innych mniejszych i większych twórców kulturalnych? Jakiemi środkami i metodami wcielano te wartości w życie? — Wielkie style historyczne nie kształtowały się same i „chłonnie", ale były właśnie rezultatem „zwartej, przemyślanej i skutecznej" „polityki kulturalnej". Bywały one narzucane i egzekwowane przez mniej lub więcej „centralne wole". — Nawet tak łatwo „chłoniona" przez kobiety moda w ubraniu nie jest czemś samorzutnie powstającem, lecz jest narzucana zupełnie świadomie w związku z szeregiem konjunktur handlowo-przemysłowych, przez jej paryskich dyktatorów.

Oczywista, że nie można stworzyć w „w drodze administracyjnej" natchnionego arcydzieła muzycznego! Ale poziom kultury muzycznej „bez wszelkiego przymusu" może być i bywa niższy od poziomu tej kultury, gdzie działa planowo jakaś „wola centralna".

Że się „robi kulturę", dowodzą także chyba wymownie: Turcja, Włochy, Niemcy i Sowiety, świadomie, przy pomocy aparatu państwowego, wprowadzające nowe, lub strzegące starych wartości w kulturze.

Można różnie z różnych punktów widzenia oceniać plany i owoce ich dążeń jak i metody działania, — nie można jednak twierdzić, że kultura wyrasta sama przez się, poza obrębem działania woli jednostek czy grupy.

Nie kształtuje się też sama przez się kultura publicystyczna, lecz jest wynikiem dobrej i złej woli piszących, jak i głębszego lub płytszego wnikania ich w przedmiot artykułu. W czasach różnych przewartościowań i kryzysów w życiu narodów uważam, że i przedstawiciele tej tak ważnej dziedziny kultury polskiej powinni posiadać pewne minimum precyzji w stawianiu i rozwiązywaniu podstawowych zagadnień, o ile istotnie zależy im na jej „jakości".

C. BAUDOUIN DE COURTENAY JĘDRZEJEWICZOWA

KSIĘŻYC FANATYCZNY

I jakże tu oddzielić mi od jawy sen,
Kiedy więcej niż w jawie w śnie lirycznym jawy!
Mogę przysiąc: Księżyc — blady Piotr z Amiens
Nawołuje do krzyżowej wyprawy!

Na kazalnicy niebios mówca fanatyczny
Srebrnym głosem do walki mistycznej porywa.
Czyż uda mu się zmienić w Godfredów lirycznych
Trzeźwych stróżów kantorów i rycerzy piwa?

Czcigodni radcy miejscy — monumenty cnoty —
Szklanemi źrenicami wpatrują się w niebo —
Nie oszukać ich krzykiem i groźbą tęsknoty,
Mową prośby i gniewu!

Udają, że nie widzą. Mówią, że to sen.
I wracają do szynków — do piwa i kawy —
A przecież mógłbym przysiąc: Księżyc — Piotr z Amiens
Nawołuje do krzyżowej wyprawy!

*

KROWY

Czy czuły krew od rzeźni, czy upiory krowie
Stanęły tuż przy bramie, zabraniając wstępu?
Trwożnem stadem stanęły, opuściwszy głowy,
Gromadą nieruchomą i kamiennie tępą.

Nagle zarykły chórem wniebogłosy skargą,
Bydlęcym jękiem krwawiąc krwawej rzeźni ciszę.
Darmo bicz gzem je kąsał i lśniącą sierść targał,
Darmo parobek wściekły straszył je i krzyczał.

Nie ruszyły, aż wreszcie jęk się nie wyśpiewał —
Pożegnanie obory, pastwisk, żłobów siana —
I chwaliły przeciągle smutne wiejskie drzewa
I trawę, w której mogły pływać po kolana.

Siano, chrupiące w zębach, ziemniaki i brukiew,
Cielęta niedołężne, niemowlęta śmieszne,
Ścigającą je w polu napastliwą sukę
I całe swoje życie bez cnót i bezgrzeszne.

A potem szły spokojnie z godnością zwierzęcą
Równe mędrcom w powadze, nie drżąc i nie jęcząc,
Na ostatnią swą drogę mięsistym ozorem
Czesząc, żniwo rakarzy — aksamitną sierść.
Powoli szły oblane jesiennym wieczorem,
Gdzie w rzeźni niecierpliwił się w ręku z toporem
Rudy rzeźnik spocony — muskularna śmierć!

WOJCIECH BĄK

MOCHNACKI JAKO PUBLICYSTA

(W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU)



Krótkie, trzydziestoletnie życie Maurycego Mochnackiego zdumiewa potomnych nietylko ogromem, ale i wielostronnością czynu.

Trudno poprostu zrozumieć, w jaki sposób ten młodzieńczy umysł potrafił zamknąć w sobie tak szeroką skalę zainteresowań. Trudno pojąć, w jaki sposób ten słaby i chorowity organizm mógł w tylu dziedzinach życia wykazać taką potęgę energji i takie bogactwo talentu.

Mochnacki był krytykiem, muzykiem, politykiem, żołnierzem, historykiem i publicystą. We wszystkich tych dziedzinach ujawnił świetność umysłu i żar młodocianego entuzjazmu, ale nigdzie chyba nie pozostawił tak wiekopomnego śladu, jak na łamach prasy, na szpaltach współczesnych mu dzienników i czasopism.

Od wczesnej młodości, we wszystkich fazach burzliwego życia, Mochnacki był zawsze i wszędzie rasowym dziennikarzem i pierwszym wielkim, w pełnem tego słowa znaczeniu, publicystą polskim.

Wrodzony temperament, wspaniały talent pisarski, a przedewszystkiem przedziwna zdolność zgłębiania wszystkich dziedzin życia i wiedzy, wyniosły go na szczyty polskiej publicystyki.

Rola Mochnackiego w publicystyce polskiej posiada wszelkie cechy przełomu. Nietylko utrwalił typ prasy codziennej, ale, co ważniejsza, pchnął ją na nowe, nieznane jej dotąd tory; pod jego piórem z ówczesnych szarych, nudnych dzienników polskich, wypełnionych tekstami ustaw i kroniką bieżącą, buchnęły płomienie entuzjazmu lub ostrej, zabójczej krytyki.

Dzieje Mochnackiego-publicysty sięgają pierwszych jego lat uniwersyteckich. W tym bowiem okresie zetknął się w pracy konspiracyjnej z Heltmanem i Piątkiewiczem, wydawcami *Dekady Polskiej* — organu „Wolnych Braci Polaków". Nie można stwierdzić, czy Mochnacki już wtedy próbował swego pióra, ale zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że ten kontakt wywarł niemały wpływ na jego późniejsze zainteresowania dziennikarskie. Decydującą jednak rolę w tych dziejach odegrał, dziwnem losu zrządzeniem, W. Książę Konstanty. Zamknął on bowiem Mochnackiemu swym autokratycznem zarządzeniem drogę do uniwersytetu i do karjery urzędniczej, a tem samem zmusił go do szukania innych sposobów egzystencji. Gdy po tragicznych dniach więzienia karmelickiego i po opuszczeniu biura cenzury nie mógł znaleźć Mochnacki odpowiedniego zajęcia, przyjął pracę w *Izydzie Polskiej*, czasopiśmie poświęconem „krajowemu przemysłowi, tudzież potrzebie wiejskiego i miejskiego gospodarstwa".

Pomimo tak szumnego tytułu, *Izys Polska* nie była pismem, któreby potrafiło chociażby częściowo zaspokoić aspiracje publicystyczne Mochnackiego. To też rychło znalazł on odpowiedniejsze pole do rozwinięcia swych zdolności, zakładając wespół z Michałem Podczaszyńskim *Dziennik Warszawski*.

Na łamach tego pisma znajdujemy pierwsze poważne prace młodego publicysty. Żywot *Dziennika Warszawskiego* nie trwał jednak długo. Mochnacki wycofał się z niego już na początku 1826 roku pod naciskiem rodziny, zrażonej trudnościami finansowemi. Podczaszyński zaś wkrótce potem sprzedał pismo Odyńcowi, który w innej, spaczonej już formie, redagował je do roku 1830.

Ten przykry zgrzyt na samym progu karjery dziennikarskiej nie zniechęcił jednak Mochnackiego. W grudniu 1826 r. zakłada on *Gazetę Polską* do spółki z Bronikowskim.

Powstanie tego dziennika było w historji prasy polskiej zdarzeniem epokowem. *Gazeta Polska*, od pierwszych chwil swego istnienia, stała się groźną konkurentką dla całej ówczesnej prasy warszawskiej. Bo wartość tej prasy wiele pozostawiała do życzenia. *Kurjer Warszawski*, założony przez hr. Kicińskiego, był wówczas naiwnem i raczej dla ludu niż dla inteligencji przeznaczonem pisemkiem. Ukazująca się cztery razy w tygodniu *Gazeta Warszawska* oraz *Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego* nie przedstawiały również żadnej poważniejszej wartości.

Na tem szarem tle *Gazeta Polska* była zjawiskiem niezwykłem. Samą już szatą zewnętrzną, drukiem i formatem, wyróżniała się z pośród pism ówczesnych, a jej żywa i interesująca treść była rewelacją.

Jej przedewszystkiem zawdzięczać należy zarówno wprowadzenie sztuki i literatury na łamy prasy codziennej, jak i głębsze zainteresowanie ogólnem życiem narodu. Ona też pierwsza wprowadziła stały dział oryginalnych korespondencyj zagranicznych, które nadsyłał wówczas z Paryża Michał Podczaszyński.

Szpalty *Gazety Polskiej* stały się wyraźną kuźnicą młodego, nieskrystalizowanego jeszcze romantyzmu, w którego obronie wystąpił Mochnacki. W ogniu polemik z Koźmianem i ze Śniadeckim hartował młody krytyk potężne swoje pióro i śmiałemi rzutami wznosił triumfalną bramę dla nowych prądów i idej.

Wrodzony wstręt do kompromisu, cechujący całą działalność Mochnackiego, skłonił go z kolei do porzucenia *Gazety Polskiej*, ponieważ jej wydawca zbytnio sprzyjał klasykom. Dnia 1 grudnia 1829 r. zakłada Mochnacki z Adolfem Cichowskim *Kurjer Polski;* była to pod każdym niemal względem kontynuacja *Gazety*, tylko o wiele śmielsza w wypowiadaniu poglądów rewolucyjnych.

W tem piśmie zakończył Mochnacki okres swojej pracy publicystyczno-literackiej, przerzucając się do polemiki politycznej. W pamiętną Noc Listopadową oddaje on swoje genjalne pióro na usługi rewolucji. Ze szpalt *Kurjera Polskiego* zaczyna przemawiać do narodu wielki trybun ludowy.

Dnia 5 stycznia 1831 opuszcza Mochnacki redakcję *Kurjera Polskiego*, pozostawiając w niej Niemojowskiego z Kaliszanami, i zakłada *Nową Polskę* — dziennik naukowo-polityczny.

Trudno jest dokładnie ustalić listę współpracowników tego nowego, skrajnie radykalnego pisma. W pierwszych numerach spotykamy tam nazwiska: Lelewela, Goszczyńskiego, Brodzińskiego, Wysockiego, Nabielaka, Zaleskiego i innych. W ogniu walk, jakie *Nowa Polska* staczała z sejmem, szybko zmniejszało się grono jej współpracowników. Odżegnał się od niej Wysocki, opuścili ją Brodziński i Zaleski, a wreszcie pod naciskiem sejmu i opinji ustąpił i Lelewel.

Nowa Polska żądała otwarcie zmiany Konstytucji, zwołania Kongresu i władzy dla całego ludu. Pierwsza domagała się detronizacji Mikołaja i ofensywnych działań wojennych. Artykuły Mochnackiego z tego okresu specjalną posiadają wymowę.Ześrodkował się w nich cały duch rewolucji listopadowej i cała tragedja niemocy w obliczu toczących się wypadków. Artykuły te, jak *Detronizacja Mikołaja*, *O terroryźmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego*, *Co teraz rozumieć przez konstytucję w Polsce* — to rozpaczliwe próby przezwyciężenia nieubłaganego losu.

W obliczu zbliżającego się wroga, czując się nieużytecznym w Warszawie, Mochnacki wyrusza na front, by spełnić obowiązek żołnierski. Ale nawet w bitewnym zgiełku i huku armatnim nie przestaje być dziennikarzem. Z pod Pułtuska nadsyła jeszcze do *Nowej Polski* artykuły: *Być, albo nie być* i *Czemu masy nie powstają*. W artykułach tych usiłuje raz jeszcze udowodnić konieczność rewolucji socjalnej, jako jedynego środka ratunku dla zagrożonego powstania.

Rany otrzymane pod Wawrem i Ostrołęką przerywają na dłuższy czas działalność publicystyczną Mochnackiego. Podejmuje ją znowu dopiero w przededniu ostatecznej klęski, w *Dzienniku Krajowym*. Z pożółkłych szpalt tego pisma biją do dziś dnia na czytelnika płomienie jego słów, pełnych jeszcze wiary w możliwość dalszej walki. Artykuły: *Co przedsięwziąć w obecnej chwili*, *System nowej władzy* i *Restauracja Polski* — to wymowne świadectwa potęgi pióra i nieugiętej siły ducha ich autora.

Ta siła duchowa nie pozwoliła mu wątpić o zwycięstwie rewolucji nawet w najcięższych i najgorszych chwilach. Po zajęciu Warszawy pisał jeszcze Mochnacki w naprędce założonej w Zakroczymiu *Gazecie Narodowej:* „Nie dokazali wszystkiego Rosjanie wzięciem wspaniałego miasta. Nie mury i pałace, ale serca polskie są ogniskiem naszej świętej sprawy, a tej twierdzy żadna moc nie weźmie, ani nie zburzy..."

Wraz z tłumem wychodźców polskich poszedł na daleką tułaczkę i Mochnacki. Ale i tutaj, na obcej ziemi, nie zamilkł jego głos donośny, nie wypadło pióro z dłoni słabej i zmęczonej. Po przybyciu do Paryża odnawia on dawną współpracę z Michałem Podczaszyńskim i pisuje do wydawanego przezeń *Pamiętnika Emigracji*. W tym okresie jego działalności publicystycznej powstają wspaniałe pod każdym względem artykuły: *O charakterze polskiej emigracji*, *O rewolucji w Niemczech*, *Królowie i Rewolucja*.

Te dwa ostatnie artykuły są wyrazem teorji, którą skrystalizowały w umyśle Mochnackiego tragiczne dzieje Listopadowego Powstania. Teorja ta — to absolutyzm rewolucyjny i rewolucyjna umiejętność. Ta doktryna polityczna, tak niepopularna w przededniu wiosny ludów, w epoce wybujałego liberalizmu, odsunęła od jej twórcy resztę dawnych przyjaciół politycznych i pogrążyła go w samotności, tak charakterystycznej dla wszystkich wielkich, a niedocenionych i niezrozumianych przez współczesność umysłów.

Mochnacki był wielkością w dziejach naszych, a w historji publicystyki polskiej był wielkością nieprześcignioną. Cechowała go nietylko świetność pióra, lecz i kolosalna zdolność pojmowania wszystkich zjawisk życia, niespotykana wprost śmiałość w mówieniu prawdy w oczy i potężna dynamika uczucia.

Do tych wszystkich walorów dołączyć trzeba, tak cenną w zawodzie dziennikarza, łatwość pisania i niepożytą energję w organizowaniu coraz to nowych warsztatów pracy publicystycznej.

Dziwne fatum nie pozwoliło Mochnackiemu dokończyć żadnego z większych dzieł pisarskich: nie pozostawił ani dalszego ciągu pracy *O literaturze polskiej XIX wieku*, ani dalszych tomów *Powstania Narodu Polskiego;* zato każdy z jego artykułów publicystycznych jest arcydziełem s k o ń c z o n e m!

A przecież i tamte dwa dzieła — dzięki którym Mochnacki jest uważany za znakomitego krytyka literackiego i historyka — i one przecież, ze względu na aktualność poruszonych tematów, są przedewszystkiem publicystyką, i to publicystyką w wielkim stylu.

EUGENJUSZ ŁAGIEWSKI

UROCZYSTOŚĆ I RZECZYWISTOŚĆ

Paryż, w styczniu.

Celem uczczenia setnej rocznicy śmierci M. Mochnackiego władze francuskie (grupa regjonalna de l'Union Nationale des Combattants) — w osobach pp. L. Berthier i A. Moreau — urządziły dn. 6-go stycznia b. r. obchód w Auxerre.

Z tegoż Auxerre dn. 17 kwietnia 1833 r. pisał Maurycy Mochnacki do rodziców:

„Pod żadnym pretekstem, w żadnym zamiarze, nigdy my dwaj[1] nie wrócimy do Polski, chybaby nagle nasz kraj cudem Opatrzności z grobu powstał cały, wielki, i był rządzony, jak my myślimy!... Jeśli Papa nasz drogi przyjedziesz do nas za pomocą Bożą, wtedy... nie będzie żadnej ponęty, którąby nas mogła zwabić na ojczystą ziemię.. prochy i kości nasze nigdy tam spoczywać nie będą. Przysięgam to na wszystko co mam świętego na ziemi i w niebie. Tak znam nasz naród, tak znam ludzi, którzy na niego działają i działać mogą. Tak jestem przekonany, że się w kraju naszym nie zmieni co do politycznego głupstwa, intryg nikczemnych panów i ich służalców"...

Tak pisał M. Mochnacki, rozgoryczony do najwyższego stopnia stosunkami panującemi na emigracji, przybity chorobą brata, by w rok potem (6 listopada, 1834 r.) donieść:

„Jestem teraz w Burgundji, w miasteczku Auxerres nad rzeką Saône.... w tem samem miejscu gdzie raz nocowałem z Kamilem, odwożąc go do południowej Francji, skąd obydwa pisaliśmy do Kochanych rodziców. Od miesiąca tu siedzę i gdyby nie kaszel z kataru w piersiach, mógłbym powiedzieć, że jestem zdrów zupełnie, lecz to bagatela, która wkrótce zapewne przeminie... Pomieszkanie moje ze ślicznym widokiem na rzekę, która pod oknami płynie, i na góry, które otaczają miasto dokoła... Tu za temi górami odetchnąłem cokolwiek: tak tu jest miło i cicho".

Był to ostatni list Maurycego do rodziców. W grudniu już nie żył. Z notatki majora S. Dębowskiego dowiadujemy się, że:

„Pogrzeb Maurycego odbył się wspaniale. Kościół Fary wybito czarnym kirem i rzęsisto oświecono, nabożeństwo wielkie, muzyka gwardji narodowej, wszystkie władze, prefekt, jenerał komenderujący z całym sztabem w wielkich uniformach, gwardja narodowa w paradzie. Ciało Maurycego wynieśli z kościoła przez całe miasto na przemian koledzy. Francuzi, cywilni i wojskowi, dobijali się, ażeby mogli nieść zwłoki tak znakomitego młodzieńca i męża... W czasie tej exportacji muzyka wojskowa przegrywała i przerywała to głuche milczenie, które uszanowanie sprawiało. Strzelanie całego batalјonu, który asystował temu smutnemu obrządkowi, ciągle powtarzano. Ludność kilkotysięczna tłoczyła się za ciałem Maurycego"...

A po stu latach?

W pogodny dzień 6-go stycznia, w równie cichem jak ongiś Auxerre: — tłumy miejscowej ludności, przedstawiciele władz miejscowych: prefektury, miasta, garnizonu, kościoła; zaproszeni na uroczystość Polacy: ambasador Chłapowski, pułk. Błeszyński, radcy Potworowski i Lechoń, kustosz Bibl. Polskiej w Paryżu Cz. Chowaniec... Wszyscy zebrani na cmentarzu przy pomniku i grobie Mochnackiego. Mowy. Wieńce. Nastrój uroczysty i dziwnie serdeczny. Potem odwiedzanie grobów innych polskich emigrantów; składanie na nich kwiatów przez b. kombatantów francuskich. Potem zmierzch i uroczysta akademja w sali Famille Théâtre: przemówienie p. Berthier i p. Tenot, odczyt o Mochnackim p. Abla Moreau, deklamacje Mme H. Huzard, gra Dygata, słowa ambasadora Rzplitej.

„La manifestation d'aujourd'hui en souvenir de Mochnacki va droit aux coeurs polonais. Nous en sommes sincèrement reconnaissants toujours à la ville d'Auxerre, à sa noble et généreuse population qui a gardé un souvenir ému de l'exile soldat héroïque et poète".

Uroczystość skończona. Powracamy do codziennej rzeczywistości, by spytać: tyle Francuzi — a swoi?

*

Zabrałem się do przejrzenia pism Mochnackiego, gdyż sądziłem, iż ta czynność będzie najwłaściwszą formą odpowiedzi. W miarę jednak, jak zaczęły przechodzić przez moje ręce *Pisma wybrane*, wydane przez A. Jełowickiego „na cel wystawienia pomnika autorowi" (Paryż, 1836), listy, artykuły (Poznań, 1863 r.), dzieło p. t. *Powstanie narodu polskiego* (Poznań, 1863 r.) — uczułem wstyd! Wstydziłem się, zestawiając datę wydania dzieł Mochnackiego z ich płomienną i jakże żywą treścią! Wstydziłem się, gdy wczytywałem się w *List do generała Dwernickiego* (17 października 1834 r.) lub w *Pismo okólne oficerów... z zakładu w Auxerre...* (23 październik, 1834 r.)! Najbardziej chyba jednak, gdy znalazłem w przedmowie A. Drogoszewskiego do dziełka *O literaturze polskiej w w. XIX-ym* następujące słowa:

„A przecież, mimo zaznaczone znamiona aktualności dzieła w jego zakroju i fragmentaryczności i dorywczości ze względu na kompozycję, można utrzymywać stanowczo, że w dziele tem autor zamknął niejako kwintesencję dążeń naszego ruchu umysłowego w pierwszej połowie XIX w. Dzięki tej niewielkiej książeczce Mochnacki wzniósł się na stanowisko filozofa romantyzmu polskiego".

Po przeczytaniu tych słów postanowiłem ostatecznie pozbyć się upokarzającego uczucia i dlatego sięgnąłem po III tom *Literatury Polskiej* G. Korbuta. Niestety, suche zestawienie faktów i tym razem posiadało przerażającą wymowę! („Niema nic ciekawszego nad fakty! Nagie fakty!" — powie-



Grób i pomnik Mochnackiego na cmentarzu w Auxerre

[1] Wzmianka o bracie, majorze Kamilu Mochnackim, wówczas już beznadziejnie chorym na płuca.

dział w *Zwycięstwie* J. Conrad). Oto próbka:

Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830-31 —Paryż, 1834; wydanie 2 — Wrocław, 1850; wyd. 3 — Berlin i Poznań, 1863; wyd. 4 — w *Dziełach* II i III — Poznań, 1863 r.!

Dzieła (5 tomów) — Poznań, 1863 r.!

Zatem publikacje dzieł Mochnackiego — (z wyjątkiem jednej jedynej rozprawki *O liter. polskiej...* — Bibl. Narodowa, Kraków, 1923 r.) — nie wykraczają poza rok 1863! Niedość na tem! Autor, który w ciągu 100 lat doczekał się jedynego zbiorowego wydania swych dzieł, i to jeszcze w w. XIX! — nie doczekał się do dzisiejszego dnia wydania zupełnego! Oto bowiem co pisze G. Korbut (str. 109) przy poznańskiem wydaniu *Dzieł* (z r. 1863):

„Wydanie to nie jest zupełne; nie obejmuje: artykułów literackich z *Dziennika Warszawskiego*, *Gazety Polskiej* i *Kurjera Polskiego*; pisma *Co rozumieć przez rewolucję w Polsce...* i t. d.“

Jak i czem wytłumaczyć owo zaniedbanie? — nie wiem. Ale wiem, że za nic nie chciałbym o tem mówić z p. Berthier i z p. Moreau, inicjatorami uroczystości w Auxerre, i nie chciałbym mówić o tem z nikim z tak licznych uczestników obchodu! Natomiast chciałbym powiedzieć o tem każdemu ze spotkanych rodaków, a przedewszystkiem —Akademji Literatury, gdyż wydaje mi się, że duch Mochnackiego winien ją niepokoić!

JAN MIERNOWSKI

dji. Albo Państwo oddziela się od Kościoła i byle w takim wypadku państwo nie godziło w mistyczne ciało Kościoła, katolik-obywatel ma możność całkowitego wyżycia się religijnego, które nakazuje mu lojalność dla Państwa. Przykładem takiego stosunku Francja, w której katolicyzm nie wychował wrogów Państwa, a sam straciwszy na doczesnym blasku, zdobył się na imponującą siłę moralną.

Tak więc pesymistyczne stanowisko p. Skiwskiego, dotyczące stosunku wychowania religijnego i państwowego, nie wydaje się uzasadnione.

Problemat jest bardzo złożony, bo treścią swą sięga do podstawowych zagadnień bytu. Rozwiązać go jednak można zawsze, gdy przyjmie się jakieś proste zasady nietylko jako założenia logiczne, ale i jako przeświadczenia wiary. Na tej drodze mogą się wyłonić stanowiska przeciwne, poczem pozostaje już tylko walka o realizację, zakończona zwycięstwem którejś ze stron.

W przeciwnym razie grożą nam albo sprzeczności logiczne, albo wycofanie się z interesu i złożenie go w ręce tajemniczego „życia“, które za nas jakoś tę sprawę rozstrzygnie.

Na takie nieodpowiedzialne stanowisko wycofuje się p. Skiwski. Przynajmniej tenor jego artykułu nie wskazuje, by widział w treści terminu „życie“ jakąś siłę determinującą bieg przeświadczeń ludzkich.

ST. FURMANIK

IDEA PAŃSTWA A IDEA RELIGJI

Pan J. E. Skiwski w artykule p. t. *Wychowanie religijne a wychowanie państwowe*[1] poruszył zagadnienie, które niejednemu narzuca się jako wymagające zasadniczej dyskusji i rozwiązania w czasach wzmożonego aktywizmu Kościoła katolickiego z jednej strony, a ingerencji Państwa w najróżnorodniejsze dziedziny życia — z drugiej. Artykuł ten uderzył mnie niby swojego rodzaju paradoks. Trudno bowiem nie zgodzić się z jego ostatecznym wnioskiem programowym, mianowicie: „Wdrożenie młodzieży poczucia, że prawo nie jest mechaniczną siłą, uciskającą jednostkę, ale owszem, owocem mądrości i doświadczenia narodu, celową formą organizacji społeczeństwa, służącą w równej mierze życiu zbiorowemu co i indywidualnemu — oto co jest w mojem rozumieniu zadaniem naczelnem wychowania państwowego. Chodzi o związanie organiczne obywatela z państwem, a nie o narzucanie państwa jako konieczności zewnętrznej“. Trudno jednak również pogodzić się z wywodem, poprzedzającym to oświadczenie. Zagadnienie wychowania nie jest zagadnieniem samowystarczalnem i tworzenie systemu wychowawczego musi być zależne od ideału, któremu system ten ma służyć. Zupełnie więc słusznie, że p. Skiwski, zastanawiając się nad stosunkiem wychowania religijnego i państwowego, przystąpił do zbadania ideału państwa i ideału religijnego. Ideały te są różne, współzawodniczące ze sobą i, co najważniejsze, prowadzą do antagonizmu. Oparte więc na nich systemy wychowania nietylko nie mogą się wspierać, lecz szkodzą jeden drugiemu. Oto jest przeświadczenie autora. Pan Skiwski widzi tylko jedną możliwość uzgodnienia tych przeciwieństw, mianowicie, gdy idea państwa, wysunięta na miejsce naczelne w hierarchji wartości, staje się identyczną z ideą religijną, jak ma to miejsce np. w hitlerowskich Niemczech i sowieckiej Rosji. Innemi słowy, gdy Państwo uznane jest za bóstwo. W tym wypadku rzeczywiście nie może być antagonizmu między dwoma systemami wychowania, nietylko dlatego, że trudno służyć dwom Bogom naraz, ale i dlatego, że istnieje tu właśnie tylko jeden, stworzony przez człowieka „Bóg“. Tak się to przynajmniej wydaje na pierwszy rzut oka. Gdy jednak zaczniemy badać bliżej treść tych pojęć: „religja państwowa“ i religja *sensu stricto*, sytuacja zacznie się komplikować. Każda religja *sensu stricto* (t. z. której punktem centralnym jest Bóg Objawiony) jest pewnym poglądem na świat, ale nie każdy pogląd na świat jest religją. Takie poglądy, w których pewne wytwory ludzkie poczynają nabierać zabarwienia psychologicznego przeżyć religijnych, narażone są w swem rdzeniu na ferment, w granicy prowadzący nawet do integralnego anarchizmu. „Bóg“ stworzony przez człowieka może być przez niego unicestwiony lub też znacznie zmieniony pod wpływem właśnie owych psychologicznych zabarwień religijnych. Integralne, „religijne“ państwo, dzięki sztywności zasadniczych swych dogmatów, będzie nieustannie rozsadzane przez ów wewnętrzny liberalizm stwarzania bóstw. Nie będę wchodził bliżej w filozoficzną i psychologiczną analizę tego rodzaju procesów, chcę tylko stwierdzić, że właśnie tam, gdzie pan Skiwski widzi jedyną możność współdziałania wychowania państwowego i religijnego wskutek ujednolicenia ideałów, że właśnie tam grozi dysocjacja tych ideałów tak, że nie dadzą się one uzgodnić. I odwrotnie tam, gdzie ideały państwa i religji są różnemu „przedmiotami“, przyczem ideał państwa nie będzie wynoszony w hierarchji swej do bóstwa, współdziałanie dwóch różnych co do zakresu systemów wychowania jest możliwe, bo możliwy jest fakt stosunku. Specjalnie nawet, jeśli chodzi o katolicyzm, można zaryzykować twierdzenie, że ten ideał religijny nietylko nie może być szkodliwy, lecz przeciwnie będzie konstrukcyjnym czynnikiem w każdej realnej, materjalnie i moralnie, koncepcji organizacji państwowej.

Dlaczego pan Skiwski w dyskutowaniu zagadnienia doszedł do stanowiska przeciwnego? Sądzę, że przyczyna tego leży w zbyt jednostronnem uwzględnieniu treści religijnego ideału katolicyzmu. Punktem wyjścia rozważań autora jest motyw śmierci, jako najwyższego wyrazu czynnej wierności i oddania się jakiejś idei. I wychowanie państwowe i religijne, dążąc każde do wychowania takich jednostek, mają jednak różne cele, bo *„dla czego innego* każe umierać człowiekowi Kościół, a dla czego innego — Państwo“. Otóż to nie jest takie pewne. I Kościół w pewnych wypadkach nakazuje umierać dla celów Państwa. Przedewszystkiem jednak i Kościół i Państwo każe żyć dla swych celów, bo śmierć przyjdzie sama. I dopiero ta naturalna śmierć wyznacza różnice między celami. Wraz ze śmiercią naturalną jednostki kończy się jej związek z wszelką docześnością, a więc i Państwem. Stosunek z Bogiem natomiast kontynuuje się i nabiera wyłączności. Taka jest „materjalna“ różnica tych celów. Pan Skiwski, stwierdzając te różnice, implikuje zaraz rozbieżność celów, gdy tymczasem różnica ta stwarza dopiero podstawę do wyznaczenia stosunku między niemi. Dalej konstatuje bardziej realne różnice. Mianowicie chodzi o siłę atrakcyjną wizji, jaką wyznacza jednostce idea państwa i idea religijna. Siłę tę mierzy autor miarą eudemonistyczną i przyznaje wyższość wizji religijnej. W tym momencie warto sobie uświadomić, że jeżeli eudemonizm wizji ideału państwa przewyższa eudemonizm wizji ideału religijnego, to wychowanie państwowe byłoby w konsekwencji destrukcyjne dla religji, gdyż w tym wypadku mniej lub więcej świadomie wekslujemy na teren „religji“ państwowej, które to stanowisko już odrzuciliśmy. Odwrotnie zaś przewaga eudemonizmu idei religijnej katolicyzmu nie wpływa destrukcyjnie na ideał państwa. A to dlatego, że eudemonizm jest czynnikiem wtórnym w katolicyzmie. Jako podstawowa zasada przeżycia eudemonizm prowadzi do skrajnego egoizmu, do podporządkowania Boga szczęściu jednostki. To też katolicyzm jako zasadę podstawową uznaje doskonałą miłość Boga, wynikającą z mistycznego faktu Jego istnienia. Ta miłość do Boga ma silne zabarwienie tęsknoty do wiekuistego szczęścia, jednak nie rzutuje się wyłącznie w zaświaty, ale ogarnia i doczesność, bo Bóg jest zawsze i na każdem miejscu. Doskonała miłość nakazuje miłować wszystko, co istnieje, stwarza przytem fundamenty oraz granice wszelkiego obowiązku. Jednym z obowiązków będzie wierność dla ideału państwa. W ten sposób religijna idea katolicyzmu nie staje w antagonizmie do ideału państwa, ale go wspiera. W konsekwencji zaś i wychowanie religijne będzie miało zawsze walor dodatni w formowaniu charakteru obywatela państwa. Artykuł p. Skiwskiego jest, przynajmniej dla mnie, przez to cenny, że nie broni ani forytuje niczyich interesów. Zagadnienie chce rozstrzygnąć na gruncie doktrynalnym, zgodnie z wewnętrzną logiką treści rozpatrywanych idej. Ale właśnie dlatego jest w nim coś z paradoksu, boć właśnie katolicyzm głoszący zasadę pochodzenia wszelkiej władzy od Boga, trzymający się z uporem i niezmiennie przy systemie swych religijnych dogmatów, oddaje przecież doczesną sprawę urządzenia państwa w ręce człowieka — „cesarza“. Ten „cesarz“ posiada nawet wolną wolę, której nic złamać nie może, prócz wewnętrznej słabości charakteru. Dlatego też tylko idea państwa może grozić katolicyzmowi, ale nigdy odwrotnie. Między racją stanu jakiegoś Państwa a racją stanu Kościoła mogą zachodzić drażliwe antagonizmy, nie mogą one jednak sięgać w głąb doktryn, leżących na różnych płaszczyznach, i nie mogą one wywoływać w duszy obywatela-katolika tragicznego rozdarcia. Albo Państwo honoruje postulaty katolicyzmu, wtedy może być mowa o grzechu czyli przestąpieniu przykazań państwowych i kościelnych, i niema trage-

[1] Patrz *Pion* Nr. 2 (67) z d. 12 stycznia 1935 r.

ANGLJA ROZWIĄZUJE PROBLEM MIESZKAŃ ROBOTNICZYCH

Ktoś kiedyś nazwał Sir Hiltona Younga, obecnego brytyjskiego ministra zdrowia, angielskim „Odnowicielem“. Porównanie to odnosiło się do szeroko zakrojonej akcji uzdrowienia stosunków mieszkaniowych, której wyżej wymieniony przewodniczy. Choć zasadniczo słuszne, przecenia ono jednak zasługi Hiltona Younga, który przecież kampanji obecnej nie zapoczątkował. Już zaraz po wojnie, bo jeszcze w r. 1919, sfery rządowe zajęły się stosunkami mieszkaniowemi; kilka komisyj badało warunki i zbierało dane, a od tego czasu kilka ustaw w tej dziedzinie przeszło przez parlament. Przyśpieszenie jednak akcji nastąpiło od r. 1930, kiedy to rząd labourzystów przeprowadził przez parlament zasadniczą, a dotychczas obowiązującą ustawę, od r. zaś 1933 rząd obecny kładzie specjalny nacisk na rozwiązanie zagadnienia mieszkaniowego.

Od r. 1919 wybudowano ogółem w Anglji i Walji około 2.500.000 domów mieszkalnych i obecnie raczej jest trudno właścicielom nieruchomości znaleźć lokatorów niż naodwrót. Wiele mieszkań droższych w Londynie np. świeci pustkami.

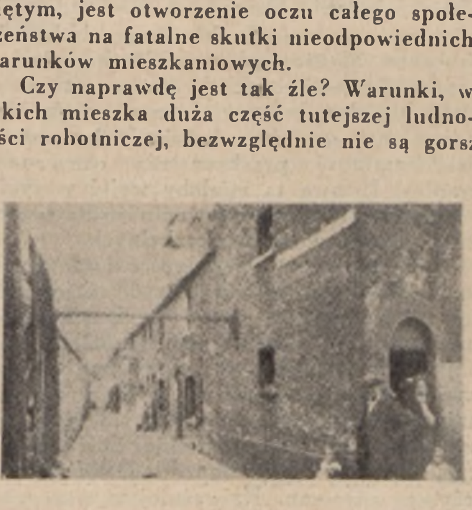
W chwili obecnej problem mieszkaniowy istnieje tylko w odniesieniu do ludności ubogiej, dotyczy zaś przedewszystkiem rzesz robotniczych w większych miastach przemysłowych. Kwestja mieszkaniowa wyrasta na gruncie dwu zasadniczych bolączek. Z jednej bowiem strony szerokie masy ludności mieszkają w domach nieodpowiednich, w t. zw. *slums* czyli norach mieszkalnych, z drugiej znów — w domach zasadniczo lepszych tworzą się naskutek niedostatecznej ilości tanich mieszkań nadmierne skupienia ludzkie, odbijające się fatalnie tak na samych lokatorach, jak i na zajmowanych przez nich lokalach. Właściciele domów są wobec tego stanu rzeczy bezradni, gdyż w Anglji obowiązuje dotychczas i obowiązywać będzie aż do r. 1939 ochrona lokatorów w domach przedwojennych. Rząd ze swej strony nie może znieść prawa o ochronie lokatorów, gdyż ludzie usunięci z mieszkań nie mieliby się gdzie podziać. Stąd potrzeba wybudowania dostatecznej ilości mieszkań tanich, odpowiadających możliwościom finansowym przeciętnego robotnika. Stąd też obecny ruch budowlany na szeroką skalę.

Akcję budowlaną rozwijają nietylko sfery rządowe. Biorą w niej bowiem bardzo żywy udział także władze samorządowe, zajmują się nią liczne organizacje o charakterze społecznym i religijnym, zagadnienie mieszkaniowe jest wreszcie przedmiotem licznych sprawozdań i badań a także tematem stale poruszanym w prasie. *War on slums* („wojna norom mieszkalnym“), oto hasło, które się czyta i słyszy niemal codzień. Poza ubocznemi celami, związanemi z polityką stronnictw, głównym celem tej wielkiej akcji propagandowej, celem w szerokim zakresie już osiągniętym, jest otworzenie oczu całego społeczeństwa na fatalne skutki nieodpowiednich warunków mieszkaniowych.

Czy naprawdę jest tak źle? Warunki, w jakich mieszka duża część tutejszej ludności robotniczej, bezwzględnie nie są gorsze od spotykanych u nas w Polsce, ale ogólny poziom życia w Anglji jest wyższy, stąd tworzą one ostrzejszy kontrast w stosunku do dobrobytu klas zamożnych. Tak w Londynie jak i w miastach prowincjonalnych istnieją mieszkania jednoizbowe zamieszkałe przez rodziny złożone np. z 7 do 11 osób, mieszkania dwuizbowe, gdzie się gnieździ po 15 osób rodziny i sublokatorów. Są dzielnice, szczególnie w większych miastach uprzemysłowionej północy kraju, w Lancashire, Yorkshire i Staffordshire, gdzie ciągną się długie szeregi szarych wąskich ulic z rzędami jednostajnych domków, przylegających do siebie szczelnie z trzech stron, tak, że ulica musi jednocześnie odgrywać rolę podwórka, ogrodu i placu zabaw dla dzieci. Wpoprzek tych ulic ciągną się zazwyczaj sznury z suszącą się bielizną, biegają po nich psy, koty i małe dzieci. W odstępach siedmiu do ośmiu domków znajdują się urządzenia sanitarne najniższego typu, często przylegające do śmietnika. W niektórych dzielnicach domki mają małe podwórka, pokryte resztkami dawnego bruku i nawpół sterczącemi płytami, lub też ciasne niebrukowane przestrzenie pełne kurzu czy błota, zależnie od pory roku i pogody. Wewnątrz dachy często przeciekają, sufity noszą oznaki wilgoci, izby są gęsto zaludnione. Bardzo rozpowszechniony typ domku składa się z piwnicy i z dwu izb, jednej na parterze, drugiej na piętrze.

Dzielnice takie pochodzą przeważnie jeszcze z końca zeszłego stulecia lub z samego początku XX wieku, kiedy szybki rozrost przemysłu angielskiego i napływ proletarjatu fabrycznego stwarzał zapotrzebowanie na mieszkania robotnicze. Rosnącemu zapotrzebowaniu zapobiegali przedsiębiorcy budowlani, wystawiając możliwie najtańszym kosztem szeregi przygnębiająco jednostajnych i tandetnych budowli. Obecnie istnieje zakaz ich wznoszenia. Zło jednak już się stało. Stworzone zostały warunki, w których, nie mówiąc już o jakiejkolwiek estetyce, nawet czystość, względne choćby odosobnienie, zachowanie intymnego charakteru życia, staje się niemożliwe. Ludzie przychodzą na świat i umierają w obecności innych domowników, o kąpieli w domu niema mowy, mycie musi się odbywać publicznie, gotowanie i pranie odbywa się w ogólnej izbie. To też życie od najwcześniejszych lat nie ma żadnych tajemnic dla mieszkańców *slums*, ale mało ma też i uroku.

Liczne sprawozdania różnych organizacyj o stosunkach mieszkaniowych w biednych dzielnicach wskazują na opłakane skutki podobnego stanu rzeczy. Wypacza on nietylko zdrowie fizyczne pokolenia za pokoleniem, lecz także wpływa ujemnie na rozwój życia umysłowego, niszczy energję, zdolność do czynu, i zapał do życia. Z tych nor mieszkalnych i mrowisk ludzkich wychodzą jednostki chorowite, cyniczne, bez dążeń do polepszenia bytu, bez przedsiębiorczości. „Jakaż jest logika w łożeniu przez społeczeństwo około 10 funtów rocznie na wykształcenie każdego dziecka z rodziny robotniczej, kiedy warunki domowe, w których spędza ono olbrzymią



Tabard Street w Londynie. Jedna z 24 dzielnic zaniedbanych, usuniętych po wojnie. (Ilustracje wedle pisma *Dom, osiedle, mieszkanie* 1934 r.)



East Hill Estate w Londynie. Jedna z pięciu nowych grup domów mieszkalnych, zbudowanych po wojnie dla rodzin, usuniętych ze *slums*, poza domami zbudowanemi na miejscu dawnych *slums*.

większość czasu, nie dają możności całkowitego wyzyskania szkoły" — zauważa związek nauczycielstwa w jednem z większych miast. Dziecko pozbawione świeżego powietrza i należytego snu nie może być bystre ani pojętne.

Dane statystyczne wykazują, iż śmiertelność niemowląt (do 1-go roku życia) jest w dzielnicach ubogich przeszło trzy razy większa, niż przeciętnie w zamożnych dzielnicach tego samego miasta. Ogólna śmiertelność w dzielnicach robotniczych jest również znacznie wyższa, przyczem prym dzierżą: gruźlica, choroby serca i dróg oddechowych oraz dyzenterja.

Wśród kilku ustaw parlamentarnych, wprowadzonych od r. 1919, a przewidujących subsydja rządowe na budowę mieszkań robotniczych, najważniejszą jest ustawa z r. 1930, która oznacza śmiały krok naprzód w przyznaniu pierwszeństwa interesowi społecznemu przed korzyścią prywatną. Ustawa ta bowiem uprawnia władze samorządowe do przymusowego burzenia domów, nie nadających się na przyzwoite mieszkania ludzkie i do przymusowego kupna gruntów, potrzebnych dla celów budowlanych. Choć ustawa ta jest dziełem rządu *Labour Party*, zachowana została w całej pełni przez rząd obecny. Praktycznie sprawa się przedstawia w sposób następujący. Samorządy miejscowe, mające pieczę nad kwestją mieszkaniową, kontrolują mieszkania robotnicze. Domy, nie nadające się w ich mniemaniu do dalszego użytku, są oznaczane na planach kolorem czerwonym lub szarym. Kolor czerwony oznacza skazanie budynku na zagładę bez odszkodowania dla właściciela, kolor szary objaśnia, iż budynek nie jest niezdatny na mieszkanie ludzkie, lecz że program budowlany danego samorządu przewiduje bardziej racjonalne wyzyskanie odnośnego terenu, właściciel jednak uprawniony jest do odszkodowania. Powyższe plany przedstawiane są Ministerstwu Zdrowia, które może je zatwierdzić lub odrzucić. Ministerstwo jest również instancją rozstrzygającą pretensje właścicieli. Wywiera ono ścisły nadzór nad działalnością budowlaną samorządów i może zmusić opieszałe władze lokalne do żywszej akcji pod groźbą cofnięcia subsydjów skarbowych. Najenergiczniejszą działalność wykazują samorządy o większości socjalistycznej, mniej się liczące z interesem właścicieli nieruchomości. Trzeba jednak przyznać, iż właściciele ci nie są zasadniczo przeciwni sanacji stosunków mieszkaniowych i że, pomijając już względy humanitarne, dla wielu z nich zlikwidowanie przeludnienia mieszkań będzie połączone z korzyścią materjalną. Burzenie bez odszkodowania wywołuje częste protesty, naogół jednak panuje przekonanie, że mieszkania w bardzo złym stanie należą przeważnie do właścicieli niesumiennych i nieludzkich, którzy starają się wyzyskać głód mieszkań robotniczych.

Według istniejących obliczeń, ogólna akcja budowlana, tak prywatna jak rządowa, powinna objąć w ciągu następnych siedmiu lat po 200.000 domów rocznie, aby sprostać tak obecnym zapotrzebowaniom jak też i powstającym stale wskutek przyrostu ludności. Z tych mieszkań przynajmniej połowa winna mieć komorne, nieprzewyższające 10 szylingów tygodniowo, aby ludność robotnicza mogła sobie na nie pozwolić. Dotychczasowy czynsz niesubsydjowanego mieszkania, czy też domu jednorodzinnego, nie pozwalał przeważnie na pobieranie poniżej 11 szylingów i 8 pensów, dlatego też budowa mieszkań robotniczych, jako inwestycja nierentowna, znajduje się obecnie głównie w rękach samorządów. Pewną działalność w tym zakresie prowadzą również towarzystwa budowlane *(building societies)*, stanowiące rodzaj kooperatyw. Dają one pożyczki pod domy, bądź też budują je na sprzedaż lub na wynajęcie. Z nielicznemi jednak wyjątkami domki te przenoszą możność płatniczą ubogiej ludności.

Wyłania się stąd pilna potrzeba zmniejszenia kosztów budowy. Ponieważ niema mowy o stosowaniu gorszego materjału, pozostaje jedynie droga racjonalizacji budowy. Czynniki zainteresowane żywią nadzieję, że przy masowej budowie koszty materjałów i robocizny dadzą się obniżyć. Dają się słyszeć głosy, iż akcję budowlaną należałoby scentralizować w jednej organizacji (nie posiadającej jednak prawnego monopolu), powierzając administrację nowopowstających domów drugiej centralnej organizacji.

O ile sprawa wysokości komornego mieszkań robotniczych nie nasuwa punktów spornych, o tyle zachodzą pewne różnice zdań co do najodpowiedniejszego typu budowli. Często słyszy się rozważania na temat, czy budować — kamienice, czy też domki jednorodzinne? Przewaga jednak jest stanowczo po stronie domków osobnych, które do tej pory stanowiły zasadniczy typ mieszkania robotniczego. Domki te sprzyjają życiu rodzinnemu, a także dają mieszkańcom możność uprawiania przyległych do nich ogródków, co wpływa bardzo korzystnie nietylko na zdrowie fizyczne, lecz również na rozwój zmysłu estetycznego. Zamiłowanie do ogrodnictwa jest wybitną cechą życia angielskiego. W małych ogródkach prywatnych każda piędź ziemi jest wyzyskana. Toną one zazwyczaj w powodzi różnobarwnych kwiatów. W najbardziej zurbanizowanem społeczeństwie na świecie budzi się tęsknota za przyrodą. Przemawia też za domkami i ogródkami często wzgląd materjalny. Nawet niewielkie, lecz należycie uprawione grzędy, mogą dostarczyć poza kwiatami także jarzyn, których wartość dochodzi nieraz do kilku funtów rocznie, co stanowi sporą różnicę w budżecie robotniczym.

Nietylko jednak najlepsze intencje projektodawców decydują o typie nowych budowli. Istniejące warunki często nie pozwalają na wykonanie najbardziej słusznych planów. Tam gdzie samorząd nie rozporządza odpowiednio taniemi i obszernemi terenami, budowanie kamienic staje się koniecznością, gdyż pozwalają one na pomieszczenie 40 rodzin na przestrzeni jednego akra (około 4.450 m.²) przy pozostawieniu odpowiednich przestrzeni na trawniki i place gier, podczas gdy domki z ogródkami budowane są zazwyczaj z gęstością 12 rodzin na jeden akr, a gęstość ta może być podniesiona do 20 rodzin na akr, lecz nie dalej, o ile mają być zachowane korzyści płynące z tego typu mieszkań.

Wobec konieczności stawiania kamienic w niektórych wypadkach, wyłania się kwestja, aby mieszkańcom ich dać kompensaty w formie możliwie jaknajwiększego odosobnienia poszczególnych rodzin i różnych udogodnień gospodarskich, jak pralnie i suszarnie itd. Powstał nawet projekt zakładania żłobków dziecięcych przy kamienicach robotniczych, dotychczas jednak nie został on w praktyce zastosowany. Projekt ten wiąże się z bardzo ważnem zagadnieniem nadzoru nad małemi dziećmi. Matka w rodzinie robotniczej skazana jest zazwyczaj na ciągłe przebywanie w domu, dopóki wszystkie dzieci nie dorosną do wieku, w którym można je zostawiać bez opieki. Ten stan rzeczy sprawia, iż mąż i żona bardzo mało przebywają ze sobą, wskutek czego powstają różnice zainteresowań i upodobań, szkodliwe dla harmonji w rodzinie. Aby taki stan rzeczy zmienić na lepsze, zalecają niektórzy budowanie kamienic z odpowiedniemi żłobkami. W rzeczywistości jednak można z równą łatwością tworzyć żłobki w kolonjach robotniczych złożonych z osobnych domków.

Na decyzję, który typ domów stosować, wpływa również odległość terenów budowlanych od fabryk i innych warsztatów pracy i związana z tem wysokość kosztów przejazdu, które stanowią ważną pozycję w budżecie robotniczym. To też w wielu wypadkach konieczne są kompromisy i niema widoków na to, aby Anglja stała się krajem miast-ogrodów.

Takie są założenia prądu budowlanego i zamiary na przyszłość. Zapytajmy zkolei jak się przedstawia dotychczasowy dorobek?

Według istniejących danych samorządy w Anglji wybudowały od r. 1919 — 788,000 domów mieszkalnych, przeważnie jednorodzinnych, przy większej lub mniejszej pomocy finansowej ze strony skarbu, różne zaś instytucje społeczne dostarczyły 22,000 mieszkań. Wydano na ten cel 137 miljonów funtów ze skarbu państwa i 30 miljonów z podatków lokalnych. W r. 1934 subsydja skarbu na cele budowlane wyniosły 14 miljonów funtów. W pierwszym roku obecnej kampanji budowlanej (1933—34) wybudowano 34,359 domów i rozpoczęto budowę 19,301 dalszych. Władze centralne dążą do osiągnięcia tempa 50 do 55 tysięcy mieszkań rocznie na czas trwania kampanji przez 5 najbliższych lat. Do 30 września 1934 r. zburzono lub zamknięto na zasadzie ustawy z r. 1930 — 37.742 domów, przebudowano lub doprowadzono do należytego poziomu 92.475 domów, przesiedlono 126.586 osób.

Rozplanowawszy w ten sposób na lat 5 akcję zniesienia *slums*, nosi się rząd z zamiarem wyplenienia klęski przeludnienia mieszkań. Minister zdrowia kilkakrotnie już zapowiadał wniesienie do parlamentu w r. 1935 projektu ustawy, która ma określić dozwoloną gęstość zaludnienia i wprowadzić karalność przekroczenia oznaczonej granicy. Ustawa ta miałaby wejść w życie po uprzedniem wybudowaniu dostatecznej ilości tanich domów mieszkalnych.

Jako przykład działalności budowlanej samorządów warto przytoczyć akcję miasta Leeds, którego zarząd wykazał dużo inicjatywy. W mieście tem, położonem w najgęściej zaludnionej i uprzemysłowionej części kraju, znajduje się 30,000 domów najgorszego typu, nadających się tylko na zagładę, nie mówiąc o wielkiej ilości mieszkań, które wymagają doprowadzenia do należytego poziomu. Najważniejszą inowacją, wprowadzoną przez zarząd tego miasta, która wywołała liczne kontrowersje i krytyki, jest **zróżniczkowanie komornego**. Subsydja skarbowe, pozwalające na obniżenie komornego poniżej skali rentownej, stosowane będą nie równomiernie do wszystkich mieszkań, lecz w zależności od potrzeb i dochodów wchodzących w grę rodzin. Przy tym systemie liczna rodzina biedniejsza, zajmująca obszerniejszy lokal, będzie np. płaciła komorne niższe od mniej licznej i zamożniejszej rodziny, ulokowanej w mniejszej ilości ubikacyj. Taka gospodarka subsydjami skarbowemi jest dopuszczalna na zasadzie ustawy z r. 1930, chociaż dotychczas nie była stosowana.

Pozatem, wbrew metodom stosowanym w przyszłości, brane są w rachubę w Leeds poszczególne rodziny, przy obliczaniu potrzeb mieszkaniowych przesiedlanych osób, a nie ogólna ilość mieszkańców dzielnicy skazanej na burzenie. Ściśle jest więc przestrzegana zasada, że każda rodzina przesiedlana powinna otrzymać oddzielne pomieszczenie, to też program budowlany uwzględnia bardzo różnorodne typy mieszkań, od jednopokojowych, przeznaczonych dla starszych osób samotnych, do 5-cio i 6-ciopokojowych. Przy dawnym systemie obliczano według schematu ilość izb potrzebnych na pomieszczenie danej ilości kandydatów na przesiedlenie i budowano odpowiednią ilość mieszkań o przeciętnej ilości trzech lub czterech izb. W rezultacie liczniejsze rodziny w dalszym ciągu mieszkały ciasno, zaś mniejsze albo miały lokale za obszerne, lub też musiały dzielić mieszkanie z obcymi. Przyjęta w tym względzie przez Leeds inowacja jest oczywiście wysoce pożądaną, choć może nieco kosztowną.

Zarząd miejski w Leeds wprowadził także specjalny typ domów t. zw. „słonecznych", które mają być wynajmowane rodzinom o wątłem zdrowiu, a szczególnie o skłonności do chorób płucnych. Domki te będą zaopatrzone w specjalne duże okna od strony południowej, które można będzie całkowicie wyjmować, zapewniając w ten sposób jaknajswobodniejszy dostęp powietrza.

Zapoczątkowana też została przymusowa dezynfekcja, celem wyplenienia robactwa. Cały dobytek przesiedlanych rodzin zabierają rano funkcjonarjusze miejscy, a wieczorem tego samego dnia przenosi się go na nowe mieszkanie, w którem nowi lokatorzy korzystają przez ten czas z niezbędnych sprzętów, stanowiących własność miasta. Dbając o jaknajwiększą estetykę tak zewnątrz jak i wewnątrz, władze miejskie wypracowały typ mebli nadających się najlepiej do budowanych przez nie mieszkań, i meble te na życzenie wynajmują za niską opłatą. Nowoprzesiedleni mieszkańcy domków z ogródkami mogą korzystać z rad i wskazówek fachowego ogrodnika. Te poczynania zarządu miasta Leeds wywołują ogólne zainteresowanie.

Rok 1935 ma według wszelkich przewidywań przynieść jeszcze szybsze niż dotychczas tempo budowlane w całej Anglji i bliskim się zdaje czas, gdy tutejsi „odnowiciele" dokonają swego dzieła i gdy wszyscy obywatele kraju będą mieszkali w warunkach dających możność dobrego życia.

ZOFJA WRZESZCZÓWNA

Londyn.

RAPPERSWIL A DZISIEJSZA PROPAGANDA POLSKA ZAGRANICĄ

W ostatniej ćwierci XIX wieku i aż do wojny światowej skupiał się około Rapperswilu, małego miasteczka szwajcarskiego nad jeziorem zuryskiem, ciekawy prąd polityczny. Muzeum Narodowe w Rapperswilu było uznane przez Szwajcarów za własność narodu polskiego. Ludzie, którzy Rapperswilem rządzili, jak Gałęzowski, Bukowski, Lewakowski i Miłkowski, należeli do tych uczestników powstania styczniowego, którzy nie utonęli w pracy organicznej, wyemigrowali na zachód i utrzymywali tradycje Wielkiej Emigracji polskiej po r. 1831. Liga Polska i Liga Narodowa, Skarb Narodowy, protesty przeciw wypadkom we Wrześni i wyodrębnieniu Chełmszczyzny, ideologja wielu politycznych stronnictw ówczesnych, a przedewszystkiem hasło Miłkowskiego o obronie czynnej, brały swój początek z Wielkiej Emigracji, w dużej mierze za pośrednictwem Rapperswilu.

Muzeum rapperswilskie i jego bibljoteka były przez przeszło pół wieku ważną placówką propagandy polskiej na Zachodzie i jednym z najważniejszych warsztatów pracy nad najnowszą historją polską.

W r. 1927 przeniesiono zbiory rapperswilskie do Warszawy. W Rapperswilu pozostał zamek, w którym Polska ma aż do r. 1970 prawo wynajmu za bardzo niskim czynszem rocznym. Liczne sale trzypiętrowego gmachu stoją od siedmiu lat prawie puste. Urządzane tam wystawy kilimów i sztychów polskich były nieproporcjonalnie małe w stosunku do tego, co mógłby i powinien objąć zamek rapperswilski. Rząd Rzplitej miał opracować plan należytego zużytkowania Rapperswilu, lecz czasy kryzysu i wzgląd na koszty, któreby nowe urządzenie zamku pociągnęło za sobą, stanęły temu na przeszkodzie. Polska nie oddała jednakże lokalu szwajcarskiemu muzeum narodowemu w Zurychu, który o to zabiegał, utrzymuje w Rapperswilu stróża, opłaca czynsz i dbać musi o konserwację zamku. Ponosi więc ciężary, a korzyści żadnych nie ma.

Nowe plany rządu Rzplitej dotyczące Rapperswilu będą musiały wziąć pod uwagę możliwości, pozwalające na odnowienie instytucji rapperswilskiej bez większych kosztów a z korzyścią dla propagandy polskiej zagranicą i dla przyjaźni szwajcarsko-polskiej. Rapperswil leży na wielkim szlaku turystycznym, na drodze do jeziora Czterech Kantonów i do Alp gryzońskich, w samem prawie centrum życia przemysłowego Szwajcarji, oddalony nie więcej niż o godzinę drogi od Zurychu, Winterthur, Oerlikonu i Badenu. Z powodu swego pięknego położenia jest Rapperswil punktem wycieczkowym dla okolicy. Przemysłowiec, który nie wiele chodzi do muzeów, przyjeżdża na *weekend* do Rapperswilu i tam z braku innego zajęcia zwiedza zamek. W każdem innem mieście muzeum polskie miałoby konkurencję w zbiorach lokalnych, w Rapperswilu było na pierwszem miejscu, i dlatego, nie mówiąc o pewnego rodzaju egzotyzmie, jakim jest Polska w Szwajcarji, oraz o dobrej starej tradycji, miało do r. 1927 około 8.000 zwiedzających rocznie.

Nadaje się więc na ciągłe a zmieniające się polskie wystawy artystyczne: malarstwa, rzeźbiarstwa, sztuki graficznej a w pierwszym rzędzie polskiej sztuki stosowanej. Aby jednakże wystawy takie nie gubiły się w wielkim zamku, konieczną jest rzeczą stworzyć dla tych sezonowych wystaw trwałe ramy. Towarzystwo Krajoznawcze i turystyczne, koleje polskie, polski klub automobilowy i Aeroklub Rzplitej byłyby powołane do tego, aby dobremi afiszami kolejowemi, mapami i prospektami przedstawić możliwości turystyki polskiej. Pokoje poświęcone Wileńszczyźnie, Łowiczowi, Zakopanemu, Huculszczyźnie i Gdyni, ciekawszym okolicom i większym miastom dałyby zwiedzającym możność poznania etnicznego bogactw Polski. Niedawna wystawa urządzona w Warszawie z powodu zjazdu Polaków z zagranicy wskazuje, co moglibyśmy przedstawić z dorobku polskiego w różnych krajach. Należałoby, rzecz jasna, podkreślić przedewszystkiem prace i historję Polaków w Szwajcarji.

Monopole i przedsiębiorstwa państwowe, a przedewszystkiem koleje, mogłyby w Rapperswilu rozwinąć swą propagandę pod warunkiem, że będzie to propaganda dyskretna i utrzymana w formach artystycznych. Pewne możliwości propagandy i zbytu istniałyby dla polskiego przemysłu drzewnego, cellulozy, nafty, benzyny, żelaza i węgla, dla przemysłu tekstylnego, dla koszykarstwa i produktów żywnościowych. Właściciele kopalń i przedstawiciele firm, czy związki producentów chętnie składaliby drobne opłaty na urządzenie i utrzymanie Rapperswilu wzamian za umieszczone tam swoje stoiska.

Izby przemysłowe, rzemieślnicze i handlowe, miasta wojewódzkie i instytucje autonomiczne mogłyby uczestniczyć w utworzeniu w Rapperswilu wystawy obecnej Polski. Targi poznańskie, lwowskie i wileńskie powinnyby zorganizować jako jedno z honorowych odznaczeń wysyłanie eksponatów nagrodzonych do Rapperswilu, gdzieby reprezentowały dany dział twórczości polskiej. Bibljoteka *rapperswilskiej wystawy Polski obecnej* zawierałaby dzieła podstawowe o Polsce, jej historji, nauce, sztuce, przemyśle i życiu gospodarczem. Bibljoteka powinna zawierać wydawnictwa o Polsce w językach obcych, zasadnicze prace polskie i *businessman's library* (księgi adresowe, spisy, katalogi i cenniki). Wystawa rapperswilska nawet w swem ramowem urządzeniu powinnaby się zmieniać co jakiś okres — mogłaby być pomocną przy urządzaniu doraźnych wystaw polskich na Zachodzie. Możeby się stała fundamentem propagandy polskiej zagranicą.

Propaganda, której koszta zwróciłyby się niewątpliwie w krótkim czasie, pokrywałaby wydatki związane z urządzeniem wystawy rapperswilskiej. Warunkiem najważniejszym takiej wystawy jest wysoki poziom artystyczny bez forsowania jakiegoś jednego działu życia polskiego — tak, aby zwiedzający Rapperswil opuszczał wystawę z obrazem całej Polski w oczach.

ADAM LEWAK

NOWA PSYCHOLOGJA W POWIEŚCI

W omawianej niedawno na łamach *Pionu*[1] książce C. E. M. Joada *Przewodnik po myśli nowoczesnej* ostatni rozdział poświęcony jest zasadniczym problemom i cechom charakterystycznym spółczesnej powieści. Uwag Joada w żadnym razie nie można uznać za wyczerpujące. Nie sięgają one dostatecznie ani wgłąb: nie uwzględniają wszelkich dających się zauważyć tendencyj, — ani też wszerz: ograniczają się do literatury angielskiej. Zresztą autor nie ma pretensyj do ujęcia całokształtu zagadnień i pokazania całego oblicza dzisiejszej powieści: chodzi mu jedynie o wyłuskanie z zamętu prądów i dążności tych znamion, które można przypisać wpływom współczesnej nauki — i to psychologji przedewszystkiem — na pojmowanie człowieka w literaturze. Niemniej jednak warto zwrócić uwagę na wskazywane przez Joada objawy, gdyż są one niewątpliwie dobrze zaobserwowane i mogą się przyczynić do uwypuklenia obrazu współczesnej prozy powieściowej.

Do najbardziej uderzających cech powieści okresu wiktorjańskiego należało — sądzi autor książki — mistrzostwo w stwarzaniu charakterów. Powieści Thackeraya i Dickensa, George Eliot czy sióstr Brontë roją się od postaci wyraźnie narysowanyzh i wprowadzonych przez autorów w pełnych pietyzmu rozwlekłych opisach i charakterystykach. Nawet figurom drugoplanowym nierzadko poświęca się po parę stron, a opisanie ich obejmuje pochodzenie, wygląd zewnętrzny, rysy szczególne, zamiłowania, antypatje, stosunek do religji, moralności, do przyjaciół i sąsiadów, do życia wogóle. Dopiero po tak bogato zakrojonym wstępie postać mogła być wprowadzona w akcję, by — często po dwóch czy też trzech stronach —usunąć się z widowni i więcej już nie powrócić.

Ludzie powieści XIX-go wieku nie byli przeważnie żywymi ludźmi. Były to abstrakcje, ucieleśnienia wyimaginowanych charakterów o paru dominujących rysach postępujące zawsze według określonych zasad tak właśnie a nie inaczej, zastygłe jakoby w jakimś statycznym przekroju. Charaktery te nie zmieniały się i nie rozwijały. Przy końcu powieści pozostawały takie same, jakiemi stwarzał je autor na początku. Ludzie byli skąpi lub rozrzutni, litościwi lub niemiłosierni, nie byli pełnymi ludźmi i reprezentowali przesadzone i uwypuklone pewne cechy charakteru. zbliżając się bardzo często do karykatury.

Otóż, według Joada, powieść współczesna różni się od tamtych powieści przedewszystkiem brakiem charakterów, które znikły zupełnie ze stron Joyce'a i Lawrence'a Huxleya i Wirginji Woolf. Niema już w literaturze współczesnej statycznej typowości; są ludzie zmienni, nierówni, szarpani wątpliwościami i namiętnościami, o wiele bardziej skomplikowani. „Podczas gdy celem powieściopisarzy XIX-go wieku było stworzenie upamiętniających się postaci, wydobycie morału lub ozdobienie opowiadania, głównem zagadnieniem nowoczesnego pisarza jest przekonanie się, jacy są ludzie, i przedstawienie swych odkryć". Celem ich jest więc dziś przedewszystkiem analiza psychologiczna. Mniej ważne jest naogół to, co ludzie robią — o wiele ważniejsze jest ich życie wewnętrzne, sploty konfliktów psychicznych bardziej nas interesują od konfliktów zewnętrznych między poszczególnymi ludźmi. Pisarz stara się dotrzeć możliwie najbliżej do motywów ludzkiego postępowania, prześwietlić je i powiązać — i w ten sposób literatura zbliża się do psychologji.

Początek rozwoju psychologicznych metod w literaturze rozpoczyna się wraz z narodzinami powieści biograficznej. Odrzuca się fabułę w dawnem tego słowa znaczeniu, tematem opowiadania stają się dzieje jednej osoby. Autor daje czytelnikowi serję obrazów z poszczególnych stadjów rozwoju. Widzimy bohatera powieści w kołysce, w dziecinnym pokoju, w szkole i uniwersytecie. Odrzuca religję, kocha się, żeni, rozwodzi, jest szczęśliwy lub cierpi. Wszystko nadaje się na materjał literacki, wszystko znajduje swe miejsce w powieści tak jak i w życiu — wszystko, co tylko ma jakiś związek z osobą bohatera.

Doprowadza to ostatecznie do nieprawdopodobnego rozrostu objętościowego biograficznej powieści. Dorota Richardson w swych dziewięciu dotychczas wydanych tomach *Pielgrzymki* doprowadziła zaledwie do średnich lat bohaterki. Jest to nieunikniona, jeśli powieść ma obejmować wszystkie zdarzenia życia, w którem niema zdarzeń nieważnych z punktu widzenia „interesu" literacko-psychologicznego.

Pisarze opisują najbłahsze szczegóły codziennego życia, nietylko to, co się zdarza, lecz wszystko co się zdarza. Jako najlepsze przykłady można przytoczyć tu zarówno *Ulissesa* jak i *Portret młodego artysty* Joyce'a. W powieściach tych znajdujemy szereg fragmentów, które ani nie mają związku z dotychczasową akcją, ani też nie wywierają wpływu na dalszy jej bieg. Są to zdarzenia odbywające się jakby na marginesie ważniejszych spraw: ale są to zdarzenia życia bohaterów — i dlatego autor poświęca im nie mniej miejsca niż innym, istotniejszym może i większą grającym rolę w rozwoju fabuły. Dzieją się: to wystarczy.

Ale dzieje się nietylko postępowanie osób — dzieją się również ich myśli. Jeśli istnieje uzasadnienie opisu wszelkich zachowań się ludzkich, to istnieje również uzasadnienie opisu wszelkich ich myśli. „Życie czynne, zaznacza się, nie jest jedynem życiem; nie jest nawet najważniejszem. Naprawdę istotne jest wewnętrzne życie myśli i uczuć. I dlatego prawdziwym materjałem powieściopisarza jest materjał psychologji" — pisze Joad. Trudny to materjał i nieuchwytny. „Dusza ludzka" jest skomplikowana i nieokreślona, lecz pisarz współczesny nie waha się przed jej demaskowaniem. Usiłuje on wejrzeć w pełną zawartość psychiki człowieka w danej chwili. Bowiem każde zdarzenie psychiczne, najkrótsza myśl czy najsłabsze uczucie, mają swą wagę — bo przecież dzieją się.

I powoli wyłania się zrozumienie, że prawdziwa wiedza o człowieku leży jednak nie w biografji ani w analizie duszy czy jej rozwoju, lecz w psychologicznym momencie. Gdyż i tu — pisze autor — wyczuwa się wpływ nowoczesnej psychologji: człowiek, gdy się go bliżej zanalizuje, wogóle nie jest osobowością; jest on szeregiem następujących po sobie osób, z których każda trwa psychologiczną chwilę. Pojęcie osobowości jest bowiem złudą, ogólna postawa dzisiejszej psychologji niechętna jest jej wyraźnie. Również „zaprzecza się, że świadomość istnieje jako jakaś odrębna istność, rodzaj basenu czy rezerwuaru, do którego i z którego wpływają lub wypływają, jak ryby, zdarzenia psychiczne, nastroje, pragnienia i im podobne, i który, tak jak basen, istnieje, choć niema już ryb". Świadomość nie jest czemś dodatkowem do naszych myśli czy uczuć, których jesteśmy świadomi: jest ona właśnie niemi, a osobowość wówczas nie jest czemś ciągłem i stałem, lecz następstwem stanów psychologicznych. Są to jak gdyby paciorki, lecz niema nitki, któraby je przewlekała. „Jaźń" jest poprostu szeregiem zdarzeń psychicznych, o których mówi się zazwyczaj, że są jej stanami lub należą do niej.

Psychologja narzuca swą postawę literaturze. „Człowiek, mówi psycholog, nie jest ciągłą osobowością; jest on serją odrębnych chwilowych psychicznych postaci. Podobnie życie lub czas nie są ciągłym strumieniem; jest to serja oddzielnych następujących po sobie, przemijających chwil. Lecz jeśli tak jest, próbować opisywać człowieka w terminach osobowości to tyle, co opisywać fikcję. — A więc bardzo dobrze, odpowiada powieściopisarz; by dać obraz rzeczywistości, muszę zająć się przepływającemi stanami psychologicznemi; by przedstawić życie takie jakie jest, muszę skupić się na psychologicznym momencie doświadczenia".

Dzięki takiemu nastawieniu osobowość i fabuła, charakter i ciągła akcja, nie znajdują miejsca w powieściach najbardziej typowych dla ostatnich lat. Treścią życia staje się moment psychologiczny, a powieściopisarz stara się zobrazować wszystko, co się w tym momencie dzieje. Toteż Joad wyróżnia trzy najbardziej charakterystyczne rysy współczesnej powieści. Po pierwsze, są powieści nie będące w istocie niczem innem jak tylko szeregiem izolowanych, nie połączonych ze sobą epizodów, których autor wcale nie usiłuje powiązać. Po drugie, istnieje dążność do przedstawiania samych epizodów jako splotów najrozmaitszych zdarzeń, połączonych ze sobą tylko faktem czasowo-przestrzennego współistnienia. I po trzecie, występują eksperymenty stylowe, mające na celu znalezienie nowych metod pisania i wypowiadania się, styl nagłówkowy, polegający na szeregu luźno rzuconych zdań, ilustrujących chaos równoczesnych wydarzeń lub nagłych skoków myślowych i uczuciowych osób, o których mowa. Ostatecznie należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden z wpływów współczesnej psychologji na literaturę. Jest to determinizm, przejawiający się z jednej strony w pojmowaniu ludzkiej świadomości jako zabawki podświadomych sił, z drugiej zaś — w pokazywaniu ludzkiego życia jako wydanego na pastwę zewnętrznych okoliczności, i ludzkiej psychiki uzależnionej całkowicie od ludzkiego ciała.

Pisarzem przykładowym dla pierwszej tendencji, wywodzącej się z psychoanalizy, jest D. H. Lawrence. Filozofja życia i twórczości tego pisarza nosiła wyraźne piętna wpływów Freuda. Gdyż od Freuda pochodziły niewątpliwie dwie jej przewodnie myśli: po pierwsze, że istotne motywy ludzkiego postępowania. myśli i uczuć leżą w podświadomości; po drugie zaś, że motywy te są naogół natury płciowej. Podświadomość kieruje naszemi czynami — ta podświadomość, którą staramy się zdusić i nie dopuszczać do głosu, racjonalizując nasze życie i narzucając mu kontrolę rozumu.

Lawrence przeciwstawia się tym dążeniom. Nawołuje do uwolnienia podświadomości, pragnie zrzucenia jarzma cywilizowanej hipokryzji, walczy o powrót do szczęśliwego i wolnego życia instynktownego.

Kierunek ilustrujący, pod wpływem behavioryzmu, zdeterminowanie duszy ludzkiej przez ciało, reprezentuje Aldous Huxley. Psychika jest funkcją ciała, zachowanie się człowieka funkcją jego otoczenia. Nie postępujemy tak, jak nam się wydaje, że chcemy. Jesteśmy marjonetkami, kierowanemi przez procesy fizjologiczne naszych ciał. Nasze miłości, nienawiści, smutki, radości, tęsknoty — wszystko to wypływa z takiego lub innego funkcjonowania organizmu. Warto jako przykład tej postawy przytoczyć rozważania Cardana z powieści Huxleya *Those Barren Leaves*.

„Największą tragedją ducha jest to, że wcześniej czy później musi ulec ciału. Wcześniej czy później każdą duszę gasi chore ciało; wcześniej czy później nie staje już myśli, a pozostają tylko ból i wymioty i otępienie. Tragedje ducha są jedynie puszeniem się i pozą na marginesie życia. a sam duch tylko przypadkową wybujałością, nadproduktem, energją życiową, tak jak pióra na głowie dudka lub niezliczone roje niepotrzebnych i skazanych na zagładę plemników. Duch nie ma żadnego znaczenia; istnieje tylko ciało. Starzeje się, stawy zaczynają skrzypieć, ciało wysycha i traci świeżość; załamuje się, życie z niego uchodzi, poczyna gnić. Choćby pióra na głowie ptaka były nie wiedzieć jak piękne, giną wraz z nim; a duch, ozdoba piękniejsza od jakiejkolwiek innej, ginie również".

Można więc, reasumując, wyróżnić za Joadem pięć zasadniczych rysów współczesnej powieści. Jest to, po pierwsze, niezwykły rozwój powieści biograficznej; po drugie, opisywanie wszystkiego, co się tylko da opisać; po trzecie, wysunięcie na pierwszy plan życia wewnętrznego; po czwarte, chwytanie przelotnego momentu psychologicznego, i, po piąte, deterministyczne pojmowanie życia człowieka.

Autor książki daleki jest od uważania swej analizy za zupełną i kończy rozdział słowami: „Przykłady powyższe nie tworzą wyczerpującego przeglądu wpływów współczesnych teoryj psychologicznych na współczesną literaturę; jeszcze mniej mają na celu dać jej adekwatny obraz. Powinny jednakże posłużyć do okazania zasięgu, w jakim rozpowszechnione dziś w świecie teorje. pochodzące przeważnie od psychologów, wpłynęły na literaturę i odbiły się zarówno na metodach jak i na materjale powieściopisarzy".

M. CHOYNOWSKI

[1] Por. Nr. 47 (60) z 1934 r., artykuł Mieczysława Choynowskiego: *Człowiek wobec nauki*.

ŚWIATŁO POD KORCEM

— Wykłady skończyły się, macie teraz wakacje — oto powszechne powiedzenie, które gniewa prawie każdego profesora wyższej uczelni z końcem szkolnego trymestru.

Wtedy z konieczności następuje wyjaśnienie, że wykłady—owszem—też są czemś bardzo ważnem, ale że w ogólnym planie zajęć profesorskich tworzą one nieraz pewną mniejszą tylko część, a na pierwszem miejscu jest, powinna i musi być twórcza praca naukowa. A zarazem przy sposobności takiej dyskusji widzimy, że społeczeństwo o pracy wyższych uczelni nie jest odpowiednio pouczone. Nawet dowiadujemy się, że takie mylne przekonania posiada nietylko szary człowiek, ale i elita społeczna, wybitni publicyści, którzy zresztą walczą w obronie kultury i szerzą cześć dla pracy umysłowej w szerokich rzeszach.

Powstaje tu wyraźne nieporozumienie, które wynika niewątpliwie z powodu braku rzeczowych informacyj. Z czyjej winy? Trzeba przyznać, że pewną winę ponosi także świat naukowy. Wiadomo, jakie są tego przyczyny. Człowiek nauki prawie zawsze gardzi codziennym rozgłosem i nie dba o poklask tłumu. Dąży do odkrycia pewnej prawdy, a nie do t. zw. uznania. Dlatego pracownia naukowa nie spieszy się z powiadomieniem ogółu o przebiegu i wynikach badań, a ogół—ten nawet inteligentny—zupełnie mylnie objaśnia sobie tę ciszę. Tem więcej, że ludzi złośliwych nie brak, wogóle o naszych bliźnich mówimy chętniej źle niż dobrze, a nawet im bardziej źle i złośliwie, tem to jest więcej interesujące... Uczonemu oczywiście i to wszystko także byłoby obojętne, gdyby nie ten fakt, że wskutek takiego oderwania się od życia współczesnego wytwarza się ujemny nastrój społeczeństwa nietylko do uczonych, ale i do nauki wogóle...

W związku z tem powstaje wskazanie dla nauki polskiej, a w szczególności dla naszych pracowni naukowych w wyższych uczelniach, aby uzyskanych wyników nie ukrywać. Cóż, że uczony badacz wogóle długie lata pracuje bez wytchnienia nad rozwiązaniem jakiegoś problemu, cóż że ściśle zamknięte grono mędrców zbiera się celem rozważania zawiłych zagadnień, gdy do ogółu wyniki tych poszukiwań docierają późno lub wcale nie. I dopiero przy uroczystości jubileuszowej jakiegoś uczonego lub instytucji badawczej dowiadujemy się do pewnego stopnia o tych niestrudzonych wysiłkach.

Dlatego byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, aby o wszelkich ważnych wynikach naszych pracowni naukowych, zarówno tych, które są związane z wyższemi uczelniami, jak i tych, które działają poza wyższemi uczelniami, dowiadywało się społeczeństwo za pośrednictwem prasy codziennej czy czasopism o charakterze bardziej ogólnym. Częściowo to już się dzieje np. w krakowskim *IKC* czy w *Gazecie Polskiej*, ale jest to jeszcze niewystarczające. Świat naukowy ma rozmaite pisma fachowe i wydawnictwa zbiorowe, z których o rozwoju nauki polskiej mniej lub więcej objektywnie może się dowiedzieć. Ale godzi się, aby także szary człowiek, tak ciężko walczący z współczesną niedolą, miał tę świadomość, że grosz wzięty odeń na oświatę nie idzie na marne, ale dla pomnożenia chwały kultury polskiej.

Wtedy zaś nietylko szary człowiek, ale i złośliwy publicysta zrozumie, że nawet profesor „ciągle wysiadujący po kawiarniach czy cukierniach", nie musi być szkodliwym próżniakiem. Bo wogóle zawsze trzeba pamiętać, że twórczość artystyczna i naukowa są w istocie bardzo sobie bliskie, oraz że na stolikach kawiarnianych powstawały nietylko perły poezji, ale i śmiałe rozwikłania zawiłych problemów matematycznych... W nauce, jak w literaturze i sztuce, różne są metody i sposoby pracy twórczej, ale właśnie w tej różności bardzo z sobą spokrewnione. Ktokolwiek się objektywnie temu przyjrzy, ten wie, że najbardziej ścisłe teoretyczne ujęcia różnych typów wyobraźni twórczej nieraz zawodzą wobec samej rzeczywistości twórczej...

Lecz cóż mówić o pouczaniu ogółu o pracy tętniącej w naszych instytucjach naukowych, gdy z intensywności działania tych pracowni sami nawet kierownicy nie zdają sobie dobrze sprawy. Dopiero gdy jakiś większy okres pracy przeminie i powstaje konieczność zdania sprawy z minionego czasu, wtedy dopiero dostrzegamy ogrom wykonanego trudu, wyrażający się w setkach drukowanych prac, w tysiącach przebytych kilometrów badania terenowego, w niepoliczonych eksperymentach, które jednak przecież nie mogą zawsze dawać wyników pozytywnych.

Przez pouczanie ogółu o tych wynikach związałoby się naukę bardziej z życiem. Szczególnie wtedy, gdy można podkreślić, że każda nauka jest nietylko czysta, ale i stosowana, że pomnaża zarówno wartości kultury duchowej jak materjalnej. Może wtedy wzmogłaby się i ofiarność społeczeństwa na cele naukowe, która w ostatnich czasach dość osłabła, niezależnie od ogólnego zubożenia. Może też inaczej spojrzanoby na zagadnienie kryzysu w pewnych dziedzinach wiedzy, może oskarżenie nie wyglądałoby tak surowo. Bo jeśli nawet ten kryzys istnieje, to przyczyny jego są bardzo różnorodne. Nie jest to jakaś jedna przyczyna, ale wiele różnych czynników, które stwarzają niekorzystne warunki. A głównym jest brak silnych i oryginalnych indywidualności w młodem pokoleniu, oraz szerząca się nagminnie przeciętność. Przecież gdy się przyjrzymy naszym najmłodszym współpracownikom, to niewątpliwie są oni bardzo mili i zacni i nawet pracowici, ale niestety nie wznoszą się ponad miarę przeciętną.

Ale mimo tego nawet niekorzystnego materjału ludzkiego, jakim dziś dysponujemy, pracownie swoje zadania spełniają. Mimo tego, że niema obecnie zawsze odpowiedniego zrozumienia dla tych prawd, że martwa księga może być zaczynem życia, oraz że nauka niemniej jak szabla broni potęgi Państwa.

Jak zaś wysoki jest poziom nauki polskiej, okazuje się szczególnie wyraźnie przy sposobności rozmaitych kongresów międzynarodowych, gdzie nieraz w formie rewelacyjnej dowiaduje się zagranica o istnieniu oryginalnych ośrodków naukowej pracy w Polsce. A trzeba pamiętać, że w tych kongresach bynajmniej nie wszyscy biorą udział, gdyż wielu naszych uczonych uważa udział w kongresie za niepotrzebną stratę czasu.

Zupełnie bez przesady można powiedzieć, że nie zdajemy sobie jeszcze dokładniej sprawy z pracy myśli polskiej nietylko na przestrzeni wieków, ale i w chwili obecnej. Potężnie płonące światło naszej nauki dotąd kryje się często pod korcem.

ADAM FISCHER

E X L I B R I S

(IMPRESJE KRYTYCZNE)

Podług planu miałem się dziś zająć kilku powieściami tłumaczonemi z literatur obcych. Ale życie literackie, tak samo jak wszelkie prawdziwe życie, nie chce się poddawać żadnym planom. W ostatnich tygodniach w naszem życiu literackiem — specjalnie zaś wydawniczem — miało miejsce zdarzenie o tak wielkiej doniosłości, że wobec niego wszystko inne musi być odsunięte na dalszy plan. Zdarzeniem tem jest ukazanie się pierwszego tomu oddawna zapowiadanego wydania *Pism* B o l e s ł a w a P r u s a.

Nie może być mowy o prawdziwej kulturze literackiej jakiejkolwiek literatury narodowej, jeżeli w inwentarzu tej literatury niema dobrych, to znaczy pełnych i krytycznych wydań jej wielkich pisarzy. W inwentarzu naszej literatury rzecz ta przedstawia się wyjątkowo źle. Nietylko nie możemy się pod tym względem porównać z wielkiemi literaturami Zachodu, ale pozostajemy również daleko w tyle poza literaturą rosyjską, a nawet czeską czy serbską. Właściwie mamy tylko największych poetów epoki romantycznej w wydaniach dążących do kompletności i opracowanych naprawdę krytycznie, przyczem jednak niektóre z tych wydań ukazują się dopiero teraz i dosyć jeszcze daleko mają do końca. Natomiast jeśli chodzi o pisarzy z epoki pozytywizmu lub Młodej Polski, to jeden jedyny Wyspiański doczekał się wydania zbiorowego, o którem można powiedzieć, że jest wydaniem krytycznem. Pozatem są tu braki i luki straszliwe. Niema np. zupełnie Pism Aleksandra Świętochowskiego. Pisma Sienkiewicza istnieją właściwie tylko w wydaniu popularnem; wydanie krytyczne tego pisarza jest dopiero postulatem przyszłości. Pisma Orzeszkowej, podjęte przed wojną, zostały przerwane w samych początkach i nie zanosi się na ich kontynuację. Żeromski jest wprawdzie dostępny, ale też tylko w wydaniu popularnem i w tekście, który wymagałby koniecznie ścisłej kontroli filologicznej. Przez pewien czas mówiło się o wydaniu zbiorowem dzieł Stanisława Przybyszewskiego, ale sprawa ucichła, i dzisiaj pisarz ten, — o którego wartości *sub specie aeternitatis* można słusznie wątpić, ale którego historyczne znaczenie jest zupełnie pierwszoplanowe, — pozostaje całkowicie niedostępnym nietylko dla zwykłego czytelnika, lecz i dla badacza literatury: poszczególne jego utwory są rozproszone, wyczerpane lub istnieją w okropnych, niedbałych, spekulacyjnych przedrukach; wiele zaś zalega w rękopisie. Tak samo w położeniu beznadziejnem byłby ktoś, ktoby się dziś chciał zapoznać z twórczością Jana Augusta Kisielewskiego, jednej z wybitnych i charakterystycznych postaci Młodej Polski i dramaturga, który posiada własną i ważną kartę w rozwoju teatru polskiego. Dalej niedostępne są pisma Stanisława Brzozowskiego, krytyka, na którym wychowało się całe przedwojenne pokolenie młodzieży polskiej. Jeszcze dalej brak pism Jana Kasprowicza, gdyż ukończone przed dwoma laty zbiorowe wydanie jego utworów jest, niestety, jedynie tymczasową próbą takiego wydania. Wymieniłem tylko najważniejsze braki i postulaty—lista ich dałaby się znacznie pomnożyć,—ale już i z tego widać, jak fatalny jest stan naszego gospodarstwa literackiego i jaka tu olbrzymia i pilna praca czeka na jak najszybsze wykonanie.—To też podjęcie i początek realizacji krytycznego wydania *Pism* B o l e s ł a w a P r u s a jest, jak powiedziałem, najdonioślejszem zdarzeniem literackiem ostatnich dni. Jest niem jeszcze i dlatego, że wydawnictwo to ma być zapoczątkowaniem nowej serji dzieł naszych klasyków, która—jak głosi napis na I tomie *Pism* P r u s a—będzie się ukazywała „pod znakiem Polskiej Akademji Literatury". Wolno więc mieć nadzieję, że serja ta pod tak wysokim—i, trzeba ufać, kompetentnym—protektoratem wypełni owe najważniejsze postulaty w zakresie wydań krytycznych, o których mówiłem przed chwilą.

Wydanie *Pism* P r u s a zostało podjęte przez firmę Gebethnera i Wolffa. Redaktorami wydawnictwa są prof. Ignacy Chrzanowski i prof. Zygmunt Szweykowski. Przygotowaniem i krytycznem ustaleniem tekstów zajmuje się prof. Szweykowski, najlepszy u nas znawca Prusa, autor doskonałego studjum monograficznego o *Lalce*. Szersza publiczność nie dość dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, co to jest krytyczne ustalenie tekstu jakiegoś pisarza, ile to wymaga żmudnej, odpowiedzialnej a nieefektownej pracy. Kto chce sobie wyrobić o tem wyobrażenie, niech przeczyta w tym I tomie wstęp prof. Szweykowskiego, a zwłaszcza paragraf p. t. *Ustalenie tekstów Dzieł Prusa*. Zobaczy przytem, przez jakie ewolucje tekst ten przechodził, co w nim pozmieniała cenzura albo różni niepowołani poprawiacze i puryści redakcyjni, którym Prus się poddawał z anielską pokorą; wreszcie, co zostało uszkodzone wskutek nieuwagi czy niedbalstwa ludzkiego przy nowych przedrukach; zobaczy również, ile i jak skomplikowanych problematów nastręcza ta z pozoru prosta rzecz: ustalenie tekstu pisarza z tak niedawnej przeszłości, prawie nam współczesnego.

Wydany obecnie tom I *Pism* P r u s a, oprócz wspomnianej przedmowy redakcyjnej prof. Szweykowskiego zawiera krótkie słowo wstępne od Polskiej Akademji Literatury, oraz prześliczny szkic syntetyczny prof. Chrzanowskiego p. t. *Bolesław Prus*. Następnie idzie przedruk pierwszej książki Prusa, wydanej w r. 1874 p. t. *To i owo—właściwie zaś: ani to ani owo czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci*. Jest to zbiór wierszyków i artykulików, drukowanych pierwotnie w czasopiśmie humorystycznem *Mucha*, oraz paru obrazków obyczajowych, drukowanych w *Opiekunie Domowym*. Zbiorek ten nigdy nie był przedrukowywany i dla dzisiejszego czytelnika, nawet dobrze znającego Prusa, jest całkowitą nowością. Są to, oczywiście, pierwociny wielkiego pisarza, ale w wielu rysach często bardzo charakterystyczne, zwłaszcza co do gatunku humoru i skłonności dydaktycznych. Pozatem rzeczy te wprowadzają nas w atmosferę życia Warszawy i Polski z przed lat sześćdziesięciu i dzięki temu mogą nietylko interesować, ale nawet bawić. Ot taki obrazek *Podróżni*. Oczywiście w dyliżansie. Jest tłok. Dużo wzajemnych pretensyj. Panowie zaczynają się „przemawiać". Damy z oburzeniem wołają, że coraz ktoś je szczypie. Zanosi się na drażliwe sprawy honorowe. Nagle jeden z mężów stwierdza: „Panowie... znalazłem pijawkę... pijawki są w karecie!..." Poczem odzywa się „głos z kąta": „Aaa... do djabła! Pewnie mi się rozwiązał butel z pijawkami."—„Kto tu pijawki wozi?" Na to tenże głos: „To ja... chirurg!" Strasznie się wszystko zmieniło na świecie w ciągu sześćdziesięciu lat!

Całość wydawnictwa obliczona jest na 26 tomów i ma wyjść do końca czerwca r. 1936. Obejmie całą twórczość artystyczną Prusa, t. j. powieści, nowele, obrazki, szkice i t. p., w tem sporo rzeczy drukowanych tylko w wydawnictwach perjodycznych a potem zapomnianych oraz kilka całkowicie nowych, które ukażą się tu po raz pierwszy—z rękopisów. Firma wydawnicza ogłosiła w dziennikach bardzo dogodne warunki nabywania kompletu *Pism* drogą prenumeraty miesięcznej.

Chciałbym jeszcze polecić coś do czytania z literatury najnowszej. Z rzeczy tłumaczonych przedewszystkiem warto przeczytać powieść B e r n h a r d a K e l l e r m a n n a *Wielkie miasto Anatol* (Warszawa 1934; Trzaska, Evert i Michalski). — Autor dobrze i oddawna u nas znany. Wymieniony utwór ukazał się w oryginale pod koniec r. 1932. Jest to bardzo obszerne, rozłożyste, spokojne i drobiazgowe malowidło z życia niewielkiego miasta austrjackiego, położonego w jakiejś nieokreślonej bliżej strefie pogranicznej, gdzie się przenikają wzajemnie i krzyżują elementy niemieckie, węgierskie i rumuńskie. Niektóre postaci powieści noszą nawet nazwiska polskie, jak Jaskulski lub Silnicki, ale ich narodowość pozatem nie jest niczem zdeterminowana. Osią akcji powieściowej jest sprawa przemysłowa: wyszukiwanie źródeł nafty w pobliżu miasta i związane z tem spekulacje gruntami. To jest sprawa zewnętrzna. Od wewnątrz mamy tu długą i dosyć skomplikowaną, czasem głęboko przejmującą symfonję ambicji i miłości, zdobywania i tracenia w i e l k i c h pieniędzy, zdobywania i niszczenia mocnych i bohaterskich, słabych i bezbronnych dusz ludzkich, zwłaszcza dusz kobiecych. Mnóstwo postaci, zawsze zarysowanych świetnie, dużo erotyki—czasem o posmaku perwersyjnym,—i bardzo dużo smutku. Akcja doskonale dramatyczna, skupiona w jednem mieście i na niewielkiej przestrzeni czasu, nadaje utworowi osobliwą atmosferę natężenia i suggestywności. Atmosfera ta jest konsekwentnie wytrzymana, pomimo znacznych rozmiarów powieści: książka liczy 535 stron! Wielką wartością polskiego wydania jest znakomite tłumaczenie, dokonane przez Zbigniewa Grabowskiego. Przepyszna naturalność dykcji, absolutne panowanie nad oryginałem, mnóstwo wyrażeń idjomatycznych, zawsze właściwie dostosowanych do sytuacji i osoby, staranność, poprawność i piękność stylu — oto zalety, które nie często spotyka się w naszych przekładach. Rzecz czyta się naprawdę jak oryginał. Pozatem należy również pochwalić zewnętrzny wygląd książki: wysoki gatunek papieru, czysty i piękny druk, staranną korektę.

Z polskich nowości powieściowych polecam dwie: powieść tegorocznego laureata Polskiej Akademji Literatury — J a l u K u r k a *Grypa szaleje w Naprawie* (Warszawa 1934; Gebethner i Wolff) oraz powieść J a n a W a ś n i e w s k i e g o *Ognie w pirytach* (Warszawa 1934; „Rój").

Powieść Kurka jest ponurym obrazem dzisiejszej nędzy wiejskiej: nędzy ludu chłopskiego i nędzy inteligentnego proletarjatu: nauczycieli, muzykantów restauracyjnych, kasjerek kinowych, manikurzystek, starych emerytów. Rzecz się dzieje w wiosce podgórskiej w okolicach Rabki—Naprawie—i małem miasteczku Jordanowie. Jeżeli u Kellermanna głównemi motywami były ambicja i miłość, to tutaj również brzmią dwa motywy: nędza i miłość, przy stałym kontrapunkcie trzeciego motywu: śmierci—śmierci z głodu, niedostatku, wycieńczenia, beznadziejności, — co wszystko razem określa się najwygodniej objektywnem mianem grypy. W technice przedstawienia autor wzoruje się (tak jak wielu współczesnych powieściopisarzy) na technice kinowej. Są to krótkie zdjęcia, zachodzące na siebie, mniej lub więcej przybliżone do widza, ruchliwe i zmienne, w następstwie swem nie uwarunkowane pozornie niczem, lecz w całości tworzące jakąś jedność atmosfery i ideologji. Mam wrażenie, że zastosowanie pewnych sposobów techniki tradycyjnej dałoby może tutaj lepsze rezultaty, ale trzeba przyznać, że i przy tym symultaneiźmie obrazów, bez ciągłej akcji i bez głównego bohatera, udało się autorowi przemówić, zwłaszcza na temat nędzy dzisiejszej wsi, bardzo przejmująco i z wysokim artyzmem.

Powieść Waśniewskiego jest ciekawym obrazem obyczajowym z życia kierowników pewnej kopalni cynku i pirytu w zagłębiu Olkuskiem, a zarazem psychologicznem studjum—znowuż!—ambicji i miłości. W porównaniu z podobnemi tematami u Kellermanna, tutaj ambicja nie ma wyraźniejszego podkładu pieniężnego i bardziej się zbliża do próżności. Dramatyzm żywej akcji polega tu na działalności młodego i szalenie zarozumiałego inżyniera w środowisku i warunkach mało mu znanych, a z któremi—właśnie przez zarozumiałość—nie chce się zapoznać. Prowadzi to do katastrofy kopalnianej, świetnie i z wielką znajomością rzeczy opisanej przez autora. Wadą powieści, a raczej osłabieniem dobrze przygotowywanego efektu, jest to, że sprawca katastrofy nie ponosi spodziewanej porażki, że próżność, zarozumialstwo, bezczelność tryumfują nietylko nad słabością intrygantów, ale i nad ofiarnością, miłością i bohaterstwem ludzi zacnych. Inżynierowi Faleńskiemu zanadto się powodzi i na kopalni i w miłości, chociaż najspokojniej stąpa sobie po trupach. Sens moralny powieści jest jeszcze mroczniejszy niż końcowe słowa stangreta Ścigaja: „Starzy se gniją na takim pagórku, a młodzi się ściskają! Tak jest i tak będzie aż po wiek wieków..." Nietylko przecież o przeciwieństwo starych i młodych tu chodziło, lecz i o różnicę pomiędzy wartościami duchowemi, niezależnemi od wieku.—Pesymizm autora wydaje mi się przesadny. Tacy panowie Faleńscy idą bardzo wysoko, ale nie wszyscy mogą im zazdrościć tej ich wyżyny. Ja, naprzykład, wcale mu nie zazdroszczę panny Wiktorji, chociaż to panna bardzo ładna, o dumnej urodzie, i ma uroczy czarny puszek nad górną wargą... i idzie w ręce człowieka, który był przyczyną śmierci jej ojca i jej narzeczonego. Ale z tem wszystkiem powieść jest bardzo zajmująca—i w stosunku do pierwszej powieści tegoż autora—*Na podszybiu*—świadczy o prawidłowym rozwoju jego talentu.

LEON PIWIŃSKI

P O E Z J A

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI. *Wróżby*. Warszawa 1934. Inst. Wyd. „Sfinks".

Wróżby noszą podtytuł — *Zajazd romantyczny*. Po tak obiecującej zapowiedzi oczekujemy jakichś nowych tonów w twórczości Dobrowolskiego. Spotyka nas jednak zawód. Spełnienia nie pokrywają się z możliwościami, jakie zawiera treść danej zapowiedzi. Poprzedni tom poety, *Autoportret*, był wyrazem poszukiwań własnego oblicza poetyckiego, usiłowaniem przełamania epigonizmu *Skamandra* przez próby stylu, próby oparcia się o Norwida i poezję staropolską wieku złotego. Dużo w nim było młodzieńczego rozmachu, śmiałości w wypowiedzeniach, jurności, zaczepności, ostrych ale bezkierunkowych o zacięciu satyrycznem wypadów w dziedzinę społeczną. Był to jakby pokaz możliwości, obraz trochę bezładnego wyżywania się poetyckiego, niepozbawiony pozy, dumnego „romantycznego gestu" i akcentów frazeologji. Nowy tom *Wróżby* — to jakby chwila namysłu, zastanowienia, przed powzięciem decyzji, przed wybraniem kierunku dla swej twórczości. Poeta zastygł w „romantycznym geście", a zarazem przyszła refleksja nad perspektywami dalszej pracy poetyckiej. Nastrój refleksji, melancholji przemijania, poczucia osamotnienia góruje tu nad dawną żywością reagowania na podniety. Jest ten nowy tom zarazem świadectwem rozterki duchowej poety, nastroju przełomu, który daje się zaobserwować nietylko u niego, lecz i u wielu innych młodych poetów, o podobnych do niego nastawieniach. Znajdujemy w wierszach Dobrowolskiego kilka wskazówek, dzięki którym możemy pokrótce scharakteryzować mechanizm tej rozterki, jej istotne podłoże. Typowym jest tu wiersz *Fragment dzwonów* — odpowiednik *Pamfletu na ojczyznę romantyków* z *Autoportretu*. Cytuję z niego kilka wierszy:

„Ojczyzna?—profesorze! jeśli było czem to
słowo komu, to jakby duszę mu wyjęto
i wywleczono trupa za nogi z salonów
belwederskich w huk wiatru, w mrok
i w granie dzwonów,
w listopadowe świsty...
...i wepchnięto pod wodę, — na samo dno...
wstydu.

Poeta kończy wiersz melancholijnem stwierdzeniem, że:.

„W kraju, gdzie gdy wiatr szumi, to jakby grał
Szopen,
gdzie dziewczyny idące przez pole ze snopem
na ramieniu, tak komuś wydały się śliczne,
że brał mazurskie chłopki za muzy klasyczne..."
i t. d.
„...za ojczyzną usechłbyś z tęsknoty."

W czem leży źródło tych nieokreślonych pretensyj i tęsknot? Za jaką ojczyzną poeta tęskni? Chyba właśnie za tą „ojczyzną romantyków", ojczyzną marzeniem i ojczyzną marzenia, którą tak namiętnie zwalczał w *Autoportrecie*. Czuje się w tem, mimo wszystko, niemoc wyzwolenia się z pod wpływów romantycznego ujmowania zadań poezji i pasowanie się z tą niemocą. Wiersz jest objawem usunięcia się gruntu pod nogami, wyraźnym objawem poczucia braku celu dla swej twórczości. Poeci romantyczni mieli ten cel i w nim znajdowali siłę i oparcie. Tymczasem w niepodległej Polsce poeta poczuł się sam na sam ze swą sztuką i stąd te tęsknoty elegijne. W tym, nierozwiązanym dotąd u Dobrowolskiego, konflikcie duchowym znajdziemy zarazem wytłumaczenie jednej z przyczyn zwrotu do Norwida tak u autora, jak i u wielu innych młodych poetów. Samotna sztuka i samotna postawa Norwida, tworzącego wbrew i pomimo obojętności, z jaką się spotykał, otoczonego milczeniem, jest wzorem, a zarazem oparciem i pokrzepieniem, w ich pracy, tak słaby budzącej oddźwięk w społeczeństwie. Jest to niejako szukanie *aprobatur* dla swej pracy. Że takie zagadnienia, walki i wątpliwości nurtują autora, świadczy też dobór przekładów (połowa nowego tomu to dobre przekłady z Puszkina, Lermontowa i Heinego). Poeta wybiera satyryczne rozmowy: *Księgarza z Poetą* (Puszkin) i *Dziennikarz, czytelnik i poeta* (Lermontowa). Naogół jednak *Wróżby* nie wnoszą nowych tonów do twórczości Dobrowolskiego, prócz pewnych akcentów powagi i rozmysłu. Zdają się tylko zapowiadać jakąś zmianę.

WŁADYSŁAW SEBYŁA



W. PRUSZKOWSKI. Portret p. Matlińskiej, ze Zbiorów Państwowych

P L A S T Y K A

WYSTAWA WITOLDA PRUSZKOWSKIEGO (1846—1896) W ZACHĘCIE

Dzieje polskiego malarstwa XIX wieku długo jeszcze będą stanowić wdzięczny teren poszukiwań i odkryć dla naszych uczonych i artystów. Mimo kilku prób ujęcia całokształtu i nielicznych dokładnie opracowanych fragmentów — ciągle jeszcze przeważa suma niezbadanych indywidualności malarskich ubiegłego stulecia. Przy takim stanie wiedzy ciągle jeszcze odnajdujemy niedocenionych albo zapomnianych. Ostatnie lata, zgodnie z charakterem naszej epoki, wnoszą nutę zainteresowań dla malarskich wartości barwy, światłocienia, faktury. Po Michałowskim, który święci obecnie swój renesans, w sferach polskich plastyków zwrócono uwagę na Kotsisa, Szermentowskiego, wreszcie Pruszkowskiego. Wystawa Witolda Pruszkowskiego w Zachęcie jest po jesiennej wystawie we Lwowie drugą już pośmiertną manifestacją hołdu dla tego artysty.

Inicjatywa Zachęty zasługuje na pochlebne słowa uznania. Wstęp do katalogu powierzono fachowej redakcji p. Dr. Majerskiej, autorce studjum o Pruszkowskim. Organizacji wystawy można zarzucić, że obrazy rozmieszczono bez planu i że nie trzymano się układu chronologicznego czy też rzeczowego. Oglądający wystawę, zamiast przy pomocy umiejętnie rozłożonego materjału przejrzeć z łatwością kolejno stadja malarskiego rozwoju artysty, — musi z trudem łączyć wymykające się ogniwa, wyszukując przy pomocy katalogu obrazy bliskie epoką i techniką, ale daleko od siebie rozwieszone w różnych częściach sali. Układ obrazów w katalogu także nie uwzględnił wymaganej chronologji. Szkoda również, że studja i rysunki Pruszkowskiego, zajmujące ścianę bocznej sali, połączono z kolekcją akwarel p. Nehringa. Braki w zespole zgromadzonych obrazów, trudnych do przewiezienia (pastelowe kompozycje — *Wianki*, *Świteź*, *Ellenai*, *Eloe wśród grobów* i t. p.) dobrze byłoby uzupełnić gablotą fotografij tych charakterystycznych prac Pruszkowskiego; w gablocie podręcznej warto było także umieścić humorystyczne ilustracje z krakowskiego *Djabła* (niema ich na wystawie) oraz niezliczone artykuły krytyczne, poświęcone sztuce Pruszkowskiego.

Mimo powyższych niedociągnięć, które należałoby usunąć z następnych analogicznych retrospektyw, wystawę warto było zobaczyć.

Patrząc dzisiaj na malarstwo Pruszkowskiego poprzez koleje ubiegłych lat, podziwiając natchnione wielkim duchem romantyzmu wizje artysty, ceniąc jego kompozycje o ludowych tematach,—stajemy długo szczerem ogarnięci wzruszeniem przed grupą jego portretów. Zachwyt budzi prawdziwy subtelność tych nieśmiałych miękkich akordów koloru, dotykalność tych głębokich soczystych tonów, rembrandtowska finezja gry bieli i czerni — to całe mistrzostwo poety pendzla, którego wspiera rzetelna wiedza i kultura.

Od Paryża, poprzez Monachjum do Matejki—oto droga malarskich doświadczeń młodości Pruszkowskiego. Pierwszy etap tych studjów, mimo iż dotyczy wczesnych gimnazjalnych lat artysty, najsilniejsze pozostawił ślady na jego formie plastycznej.

Francja z jej starą malarską kulturą i mesjaniczna atmosfera popowstaniowego polskiego romantyzmu stanowią granice bogatej dziedziny jego sztuki. „Z poetów polskich najulubieńszym był dlań Słowacki—pisze syn artysty w swojem wspomnieniu o ojcu,—z powieściopisarzy najwięcej cenił autorów francuskich, między innemi Maupassanta". W tych prostych słowach tkwi prawda o sztuce Pruszkowskiego, o ile przełożyć je na mowę plastyki. Natchnienie artysty, łącząc niemożliwości, brata polski romantyzm z francuskim realizmem i wczesnym impresjonizmem; malarstwo tematu, symbolu, fantazji z zagadnieniami barwy, farby, światłocienia; mistykę, ze znakomi-



W. PRUSZKOWSKI. Portret Siostry, ze Zbiorów Państwowych

cie podpatrzoną rzeczywistością. Analityczne badania obrazów Pruszkowskiego, prowadzone poprzez pryzmat wpływów, jasno wykazują ślady Monachjum, Matejki, pokrewieństwa z Manetem; skoro się jednak zapomni o doświadczeniach tej naukowej sekcji, staje przed nami artysta jako zagadkowa i niepospolita w swym twórczym całokształcie malarska indywidualność.

Witold Pruszkowski, subtelny portrecista, jest o wiele bardziej znany jako malarz fantastycznych kompozycyj, osnutych na tle baśni, legend, czy poetyckich opowieści. W czasach Brandta, Wierusza Kowalskiego, Gierymskiego, Chełmońskiego, Czachórskiego, w tym rodzaju malarstwa był Pruszkowski wyjątkiem. Specyficzną atmosferę nastroju osiąga artysta w swych pracach nietylko przez wybór literackiego tematu, ale także przez malarskie efekty mglistych konturów, tajemniczych oświetleń, nieoczekiwanych kontrastów. Jest tutaj Pruszkowski więcej zapewne poetą niż plastykiem, ale jest niewątpliwie samorodnym oryginalnym twórcą. Analiza tych kompozycyj nasuwa przypuszczenie, że artysta przeczuwał atmosferę nadchodzącej przyszłości, kiedy w sztuce walczącej z naturalizmem zapanuje nastrój, ekspresja i symbol.

Wystawa Pruszkowskiego powinna zainteresować naszych plastyków z „paryskiego obozu". Dla malarza znającego się na swem rzemiośle taki Portret p. Matlińskiej, Portret Siostry, Studjum mężczyzny I, Portret kobiety (Nr. 40 kat.) mogą stanowić bogate pole fachowych dociekań. Czas, nieubłagany niszczyciel ludzkiego dzieła, zostawił swe ślady na większości prac artysty. Niektóre są tak zniekształcone w kolorze i tak popękane, że z trudem trzeba domyślać się ich dawnej malarskiej urody.

MACIEJ MASŁOWSKI



CARLO CARRA. Lato nad morzem Tyrreńskiem.

SZTUKA WSPÓŁCZESNYCH WŁOCH

W dziejach sztuki włoskiej wiek XIX, a zwłaszcza jego druga połowa, bywa zazwyczaj uważana za nieciekawy okres marazmu i życia pod nazbyt ciężkiem brzemieniem wielkiej przeszłości. Dopiero bojowe i pełne rewolucyjnej dynamiki wystąpienie futurystów na początku XX wieku wywołało w sztuce włoskiej twórczy ferment i dało jej nową siłę zdobywczą. Futuryzm stał się też poniekąd ideowym odpowiednikiem faszyzmu w jego pierwszej, rewolucyjnej fazie.

Wystawa, którą niedawno oglądaliśmy w salonach Instytutu Propagandy Sztuki, miała być odzwierciedleniem nowej, zgoła odmiennej drogi twórczej, którą obecnie przebywa sztuka włoska w kierunku jak największego związania się z życiem Odrodzonej Italji, by sprostać monumentalnym zadaniom budownictwa państwowego. Po burzach okresu futurystycznego następuje uspokojenie, którego wyrazem staje się panujący obecnie w sztuce włoskiej ideał nowego klasycyzmu. Z chwilą, gdy przed włoską sztuką współczesną stanęły wielkie zadania dekoracyjne, zwłaszcza w dziedzinie malarstwa freskowego, nastąpiła konieczność głębszego współżycia z architekturą.

Antonio Maraini, komisarz faszystowskich syndykatów sztuk pięknych a zarazem zasłużony organizator warszawskiej wystawy, w treściwym wstępie do katalogu podkreśla, że ta właśnie monumentalna strona włoskiej sztuki współczesnej przedstawia się najmocniej i najoryginalniej. Jest wiec rzeczą jasną, że pokazany nam zespół dzieł. zwłaszcza przy dość nierównym poziomie, dawać mógł tylko częściowe odbicie obecnego stanu.

Niemniej przeto dążenie do monumentalności, uwarunkowane przedewszystkiem tektoniką kompozycji, nawet na przykładzie dzieł zebranych na wystawie warszawskiej występuje jako naczelny ideał włoskiej sztuki współczesnej. Byłoby to nawiązaniem do wielkiej tradycji narodowej a zarazem świadczyłoby o zrozumieniu zadań sztuki w ramach współczesnego życia zbiorowego.

Przygniatająca większość obrazów pokazanych na wystawie—to kompozycje wielo- i wielkofiguralne. Zgodnie z najdawniejszą tradycją sztuki włoskiej, począwszy od Giotta i Massaccia, uwaga artysty skupia się przedewszystkiem na postaci ludzkiej i ona to staje się w obrazie głównym czynnikiem monumentalizacji. Tektonika kompozycji oraz walory rysunkowo-plastyczne zdają się stanowić główną siłę włoskiej sztuki współczesnej, której ambicją jest stworzenie wielkiego i oryginalnego stylu dekoracji monumentalnej. Natomiast wartości kolorystyczne są nieco zaniedbane lub podporządkowane poprzednio wymienionym czynnikom. U tych zaś artystów, u których kolor zdaje się odgrywać większą rolę, widać znaczną zależność od założeń malarskich t. zw. „École de Paris".

W liczbie 150 obrazów oraz kilkudziesięciu rzeźb wraz z rysunkami i grafiką pokazano nam szereg prac najwybitniejszych artystów współczesnych Włoch, reprezentujących różne środowiska. Wśród nich dawny futurysta Carlo Carrà daje przykłady swej klasycyzującej, nacjonalistycznie budowanej formy. Obok niego pełne prostoty i subtelności pejzaże Sofficiego i konstruktywistyczna kompozycja Giorgia de Chirico. Z innych, jeszcze ekspresjonistycznych, założeń wyrasta monumentalna forma obrazów Sironiego. Felice Casorati mądrze i z dużem poczuciem dekoracyjnem obmyśla swe kompozycje, obok niego romantyk-kolorysta, pełen wyrazu i siły charakterystycznej Carena lub gloryfikujący siłę i energję nowoczesnych sportowców Montanari. W dziale rzeźby wyróżniają się dwa monumentalne biusty portretowe niedawno zmarłego klasyka-idealisty Adolfa Wildta.

Kończąc tę krótką charakterystykę ze wszech miar interesującej wystawy, niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że stanie się ona jeszcze jednym doniosłym etapem na drodze zacieśniania się dalszych węzłów włosko-polskiej kulturalnej współpracy.

JULIUSZ STARZYŃSKI

K R O N I K A

OBRADY KOMITETU ORTOGRAFICZNEGO P. A. U.

Przez cały dzień 21 stycznia obradował w gmachu Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie Komitet ortograficzny, którego skład według instytucyj podałem w 4 n-rze *Pionu*. Reprezentantami językoznawstwa są: W. Doroszewski, H. Gaertner, St. Jodłowski, A. Kleczkowski, E. Klich, J. Kuryłowicz, T. Lehr-Spławiński, K. Nitsch, H. Oesterreicher, J. Otrębski, J. Rozwadowski, St. Słoński; reprezentantami szkolnictwa: Z. Klemensiewicz, M. Majewiczówna, A. Passendorfer, St. Saski, Wł. Szyszkowski, Br. Wieczorkiewicz; humanistykę reprezentują: Boy-Żeleński, J. Kleiner, St. Kot, St. Kutrzeba, St. Pigoń, T. Sinko; przyrodę i technikę: J. Stach, L. Wachholz, A. Wasiutyński; wydawców reprezentuje J. Piątek, dziennikarstwo Z. Nowakowski. Z 29-u członków Komitetu nieobecnych było tylko dwóch.

Komitet wybrał przewodniczącym b. prezesa P. A. U. J. Rozwadowskiego, zastępcą — delegata Ministerstwa W. R. i O. P. Wł. Szyszkowskiego, sekretarzami profesorów A. Kleczkowskiego i T. Lehra-Spławińskiego; referentem generalnym został człowiek łączący naukę językoznawczą z praktyką szkolną, docent Z. Klemensiewicz. Podzielono się na komisje, z których trzy: ogólna, graficzna (wielkie litery, dzielenie wyrazów, skróty) i wydawnicza, mają większość członków w Krakowie; dwie: Komisja grup wyrazowych i Komisja wyrazów obcych i imion własnych, w Warszawie; jedna: interpunkcyjna, we Lwowie. Wybór Komisji słownikowej narazie odroczono, ale przyjęto do wiadomości, że materjały do niej przygotowuje dyr. Passendorfer.

O każdem posiedzeniu którejkolwiek komisji będzie się zawiadamiać wszystkich członków Komitetu, a posiedzenia pełnego Komitetu, nieczęstsze niż raz na dwa miesiące, będą się odbywać tylko na podstawie szczegółowych referatów komisyjnych. Każda uchwała, zapadła małą większością, może być na żądanie trzech członków wstrzymana do następnego zjazdu pełnego Komitetu, wskutek czego zgóry wykluczone jest jakiekolwiek zaskoczenie lub definitywne przyjęcie przez przypadkową nieznaczną większość. Taki regulamin spowoduje wprawdzie długotrwałość prac Komitetu, napewno nie poniżej roku, ale daje istotną gwarancję, że rezultaty nie będą efemeryczne.

Pierwsze posiedzenie wypowiedziało się stanowczo w jednej tylko sprawie: oświadczyło się jednomyślnie przeciw wprowadzaniu jakichkolwiek nowych liter, czyby to były litery zupełnie dotąd nieużywane, czy też litery znane, ale opatrzone nieużywanemi dotąd przy nich znaczkami diakrytycznemi. W ten sposób został *a limine* odrzucony propagowany w ostatnich czasach t. zw. system czeski, polegający m. in. na wprowadzeniu *s*, *c* z daszkami zamiast dotychczasowych literowych dwójek *sz*, *cz*. Uznano, że ewentualne zbliżenie przez to polskiej książki do niektórych narodów słowiańskich spowodowałoby jeszcze większe trudności w dość już trudnem cytowaniu polszczyzny w książkach czy pismach zachodnio-europejskich: uznano, że nie powinno się od dotychczasowych książek polskich oddalać ogromnych mas niezbyt jeszcze u nas zżytych z czytaniem. Jest rzeczą znamienną, że argumenty te uznał także reprezentant wydawców, wśród których były pewne „czeskie" tendencje, obiecujące rzekome potanienie książki.

Pozatem rozpatrywano najrozmaitsze zagadnienia, aby komisjom dać możność zapoznania się z panującemi w Komitecie zapatrywaniami, przyczem — rzecz prosta — zapatrywania te niezawsze jeszcze były skrystalizowane. Tak np. nie odrzucono zgóry możności uproszczeń, jakiemi byłyby: 1) ograniczenie znaków *ó* i *rz* do tych wypadków, w których żywa jest etymologiczna oboczność, jak np. w *rów* obok *rowy* lub *korzec* obok *korce*, a zniesienie ich tam, gdzie tej oboczności niema, jak w *kłótnia* czy *korzeń*, któreby można pisać: *kłutnia*, *kożeń*; nie byłby to więc *nuż w bżuchu*, ale *nóż w bżuchu*; 2) zniesienie *ch*, a zastąpienie go przez *h*, przez co ułatwiłoby się pisownię dla ogromnej większości narodu, bo *h* od *ch* odróżnia tylko znaczna część Polaków z kresów wschodnich (ale i tam niewszyscy, bo np. we Lwowie błędy ortograficzne są pod tym względem równie częste, jak w rdzennej Polsce). Oświadczono się ogólnie za zmniejszeniem ilości wielkich liter, za zmniejszeniem ilości przecinków, przy ścisłem określeniu ich użycia. — Ze spraw zasadniczych przeważała tendencja nie do zupełnego usunięcia dopuszczalnych dubletów, ale do ich możliwie jaknajwiększego ograniczenia.

Na drugi dzień rozpoczęła swe prace Komisja ogólna, wybierając przewodniczącym podpisanego. Obradowała w silnym komplecie 16-tu osób, w czem było 10-u członków pozakrakowskich.

Najpierw przyszła pod obrady sprawa zaimkowo-przymiotnikowych końcówek *-ym* *-em* i *-ymi* *-emi*. Wobec braku czysto historycznego czy dzisiejszego uzasadnienia ich rozróżniania, może i wobec wyraźnego życzenia Ministerstwa, by reforma szła w kierunku uproszczenia, wreszcie wobec poparcia przez reprezentantów towarzystw nauczycielskich, — nie może dziwić rezultat próbnego głosowania, w którem za utrzymaniem rozróżniania oświadczyło się tylko 3 osoby, a za nierozróżnianiem — 13. Nie poszło tak łatwo w szczegółach: 1) —jaka ma być końcówka w liczbie mnogiej? Za *-ymi* bez różnicy rodzajów padło głosów 11 (3 za *-emi*, 2 się wstrzymały); 2) za *-em* w nazwiskach na *-e*, a więc za *Lindem*, padło wprawdzie głosów 14, za temże *-em* w nazwach miejscowych na *-e*, jak *Zakopane*, głosów 11, ale co do pisowni przysłówków i spójników złożonych z zaimków nie było już zgody, bo za *potym*, *zatym* było głosów 7, ale za *potem*, *zatem* 6 (3 osoby nie mogły się zdecydować).

W sprawie utrzymania w wyrazach obcych w pierwszej zgłosce *i*, w dalszych zaś *j*, czyli w sprawie dzisiejszego typu *diecezja*, nie było najmniejszej wątpliwości: wszyscy obecni uznali, że niema innego sposobu wyjścia w oddawaniu na piśmie wahającej się tu wymowy. Co do pewnego odosobnionego, ale ogólne zainteresowanie budzącego wyrazu, mianowicie co do dzisiejszego *triumfu*, wszyscy się zgodzili, że należy zalecić pisownię przez *y*, zostawiając do woli *j*, czyli bardziej spolszczony *tryjumf* obok mniej spolszczonego *tryumfu*. Ale i tu był punkt dla wielu obecnych do decyzji trudny: za zostawieniem dzisiejszego rozróżniania dopełniacza l. p. *racji* od dopełniacza l. mn. *racyj* oświadczył się wprawdzie tylko 1 członek Komisji, gdy za usunięciem tej różnicy padło głosów 5, ale 4 obecni byli za zostawieniem dowolności, a 4 uznali sprawę za niedojrzałą. O innych szczegółach tej grupy mówić tu nie warto: nie dają tak charakterystycznego obrazu.

Spróbowano też orjentacyjnego głosowania w sprawie *h* i *ch*. I tu, rzecz ciekawa, za bezwzględnem zachowaniem rozróżniania padły tylko 2 głosy, gdy za pisaniem *horoba* i *herbata* 6, a za *chorobą* i *cherbatą* 1; ale 5 osób wstrzymało się od wypowiedzenia sądu.

Ten ogólny obraz jest pod niejednym względem pouczający. Zaznaczyć trzeba, że Komitet postanowił nie trzymać tych wahań w tajemnicy: owszem, idzie o wypowiedzenie się społeczeństwa.

K. N.

*

O ZJAZDACH LITERATÓW

Ogólno-polski Zjazd Literatów, który się odbył w Krakowie w r. 1932, jednogłośnie postanowił, aby następny Zjazd odbył się w roku 1935, na Zielone Świątki, w Wilnie.

Ponieważ Zjazd krakowski był zwołany z okazji 25-lecia śmierci Wyspiańskiego i w celu wzięcia udziału w ówczesnych uroczystościach, przeto i przyszłemu Zjazdowi wileńskiemu nadano charakter wielkiej imprezy „z okazji" i „ku czci". Mianowicie Zjazd Literatów w Wilnie miał uczcić setną rocznicę wydania *Pana Tadeusza* (sto czy sto jeden lat,—jakaż różnica?), no i uświetnić obecnością dziesiątków polskich literatów uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza.

Decyzja Zjazdu krakowskiego jest wyraźna,—czy jednak zjazd odbędzie się w tym roku,—pytanie. Uchwała bowiem Zjazdu nietylko ustala termin zjazdu, ale i wskazuje na okoliczności, w jakich ma się odbyć, a z temi okolicznościami jest całkiem niedobrze. Setną rocznicę *Pana Tadeusza* po przekroczeniu właściwego terminu obchodzić można zawsze,—z tem kłopotu nie będzie; natomiast z pomnikiem sprawa się komplikuje. W czerwcu tego roku, jak zapewniają optymiści, odbędzie się zaledwie założenie fundamentów, kiedy zaś może nastąpić odsłonięcie i czy nastąpi (na ten temat chętnie mówią pesymiści)—pozostaje zagadką.

Słowem, w czerwcu 1935 pomnika Mickiewicza w Wilnie z całą pewnością nie będzie, czy jednak odbędzie się Zjazd Literatów? — czyli: jaka część uchwały Zjazdu krakowskiego jest ważniejsza,—ta, która ustala termin, czy też ta, która wskazuje na okoliczności?

Sprawę tę tak lub inaczej rozstrzygnie centralny zarząd Związku Literatów lub Komitet Organizacyjny Zjazdu, ale ogół literatów musi zastanowić się nad tem, czy zjazdy stale mają być zwoływane tylko z racji jakichś uroczystości?

Niezawodnie takie zdarzenie, jak odsłonięcie pomnika Mickiewicza czy Słowackiego, nie może być pominięte przez literatów; zbiorowa manifestacja literatów jest w takich wypadkach nietylko uzasadniona, lecz konieczna; pochody, wieńce, przemówienia muszą być,—ale czy to wszystko da się połączyć z normalnemi obradami?

Zjazd krakowski miał na porządku obrad m. in. dwie tak poważne sprawy, jak Akademja Literatury i ustawa bibljoteczna, ale w jakże fatalnych warunkach odbywały się obrady, jak rozrywani byli członkowie zjazdu na wszystkie strony,—jak wiele trzeba było zobaczyć, w wielu miejscach być, wiele razy się przebierać!...

Uważam, że stanowczo trzeba rozróżnić i ustalić raz na zawsze dwie odmienne kategorje zjazdów: zjazdy manifestacyjne i zjazdy normalne.

O zjazdach manifestacyjnych wiele się nie da powiedzieć: muszą one być zwoływane wówczas, gdy zajdzie potrzeba; ich zadanie jest całkiem wyraźne, ich znaczenie komentarzy nie wymaga.

Natomiast o zjazdach normalnych należałoby porozmawiać obszerniej, aby wyłonić i ustalić zasady organizacyjne, a w ten sposób nadać zjazdom bardziej wyraźny charakter i wzmocnić ich znaczenie.

Perjodyczne zjazdy naukowych i społecznych organizacyj, mających na terenie całej Polski autonomiczne oddziały, nie są jednolite co do charakteru. Przeważają dwa zasadnicze typy. Pierwszy—to zjazdy, odbywające się raz na kilka lat i mające na celu dokonanie przeglądu sił i zademonstrowanie nowych zdobyczy. Do tego typu należą zjazdy naukowe, pozostawiające po sobie trwały ślad w postaci publikacyj z referatami, wygłoszonemi na posiedzeniach, i rezolucjami, uchwalonemi przez ogół członków zjazdu.

Drugi typ zjazdu — zjazdy doroczne, połączone z obradami centralnego zarządu, który nieraz posiedzenia swe przenosi z jednego miasta do drugiego, aby poznać życie dalszych ośrodków i zademonstrować znaczenie i siłę organizacji.

Otóż najodpowiedniejszy dla zjazdów literackich byłby typ pośredni, czyli zjazdy doroczne o nieco szerszych granicach, w których oprócz spraw ściśle zawodowych zmieściłyby się referaty ogólnego charakteru. Odbywałyby się te zjazdy kolejno w różnych miastach polskich, tworzących silniejsze ośrodki życia literackiego, a więc: w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu. A że najwyższą moralną instancją w obecnem życiu literackiem jest Polska Akademja Literatury, pożądane byłoby połączenie zjazdów ze specjalnemi dorocznemi (nie sprawozdawczemi) posiedzeniami tej Akademji.

Jaki byłby cel podobnych zjazdów?

1. Demonstrowanie twórczych sił literackich i pobudzanie ruchu kulturalnego w poszczególnych ośrodkach. Mówiąc mniej patetycznie: godziwa reklama pisarzy, wywołanie pewnego ruchu w księgarniach, a powodzi artykułów w dziennikach i t. p. To ma wielkie znaczenie.
2. Omawianie spraw zawodowych.

3. Poznawanie warunków pracy literackiej w poszczególnych ośrodkach, delikatne dokonywanie przeglądu lokalnych sił, nawiązywanie ściślejszych stosunków pomiędzy miastami.
4. Poznawanie kraju. Zjazdy musiałyby uwzględniać dłuższe i dalsze wycieczki.

A teraz sprobujmy wyobrazić sobie taki zjazd, przyjmując za obowiązującą uchwałę, która zapadła w Krakowie. A więc jakby mógł wyglądać Zjazd Literatów w Wilnie, w czerwcu bieżącego roku?

Atrakcją największą byłoby publiczne posiedzenie Polskiej Akademji Literatury z referatem na temat... Otóż to: jaki temat? W tym roku z tematem nie byłoby kłopotu: narzuca się on sam, bo ma w sobie tak miłe nam pierwiastki „ku czci" i „z okazji"...

Zresztą, o czem w Wilnie najłatwiej się mówi, szczególnie, jeżeli się nie zna współczesnego Wilna?—O romantyzmie, rzecz jasna!...

W bieżącym roku mamy dwie rocznice, niewspółmierne, co do znaczenia,—dwa pięćdziesięciolecia śmierci poetów, których ze sobą porównać nie można, lecz którzy jednak mają ze sobą coś wspólnego.

15 stycznia minęło 50 lat od dnia śmierci A. E. Odyńca, 22 maja minie 50 lat od dnia śmierci Wiktora Hugo. Jeżeli zaś do tego dodać przeniesione na rok bieżący stulecie *Pana Tadeusza*,—nawet zwolennicy zjazdów uroczystościowo-obchodowych będą mogli pogodzić się z tem, że w tym roku pomnika Mickiewicza w Wilnie nie zobaczą. (Do podziwiania jest w Wilnie prowizoryczny pomnik Mickiewicza według projektu Z. Pronaszki).

Urządzanie jednak jakichś uroczystości romantycznych nie miałoby sensu i wypaczyłoby charakter zjazdu,—natomiast skorzystanie z pewnych tematów, które nabierają cech aktualności, byłoby niezmiernie pożądane.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że Francja zorganizuje wielkie uroczystości i że nasza Akademja Literatury będzie wysyłała do Francji depesze lub uroczyste pisma. Czyż nie byłoby dobrze, gdyby poza oficjalnemi wystąpieniami z racji 50-lecia śmierci wielkiego francuskiego romantyka zechcieli nasi akademicy mniej oficjalnie porozmawiać o polskim romantyzmie, o Wilnie, no i w Wilnie?

Jeżeli chodzi o sprawy bieżące, które obchodzą ogół literatów polskich, jest ich dużo i zastanowić się nad niemi trzeba. Zjazd krakowski wysunął tyle spraw, że tego spadku wystarczy na wielogodzinne obrady,—a są przecież i nowe bolączki!...

Wreszcie—wycieczka. Mówiło się o niej już w Krakowie. Strony mickiewiczowskie, pomijając już bliskie Troki, Werki i inne miejscowości,—zasługują na poznanie.

A więc Zjazd Literatów w Wilnie mógłby się odbyć niezależnie od sprawy pomnika Mickiewicza. Czy odbędzie się? A jeżeli odbędzie się, to czy zapoczątkuje nowe tradycje w życiu literatów polskich?

Tak czy owak o zjazdach literackich porozmawiać nie zaszkodzi.

WALERJAN CHARKIEWICZ

NADESŁANE

VI Powszechny Zjazd Historyków Polskich w Wilnie odbędzie się dnia 8—11 września b. r. Zbiega się to z 550-leciem układu w Krewie, kiedy po raz pierwszy Litwa połączona została z Polską, wskutek tego na planie pierwszym znajdzie się w obradach historja Wielkiego Księstwa. Przygotowania prowadzone przez Polskie Towarzystwo Historyczne postępują naprzód, szereg znakomitych uczonych przyrzekł już swój udział. O szczegółach poinformuje odezwa, którą w tych dniach roześle Generalny Sekretarjat Zjazdu (Lwów, Uniwersytet).

*

KONKURS NA SZTUKĘ TEATRALNĄ

Światowy Związek (dawniej Rada Organizacyjna) Polaków z Zagranicy zawiadamia, że, ze względu na złożenie w terminie do 1. I. 1935 r. zbyt małej ilości prac, termin konkursu na sztukę lub widowisko teatralne dla dzieci i młodzieży polskiej zagranicą zostaje przedłużony do 31. III. 1935 r.

Nagrody: I — 2.000 zł., II — 1.500 zł., III — 1.000 zł.

Zainteresowanym bliższych informacyj udzieli referat oświaty pozaszkolnej Światowego Związku Polaków z Zagranicy — Warszawa, ul. Mazowiecka 1.

*

APEL DO POETÓW

Poeci, którzy w tekach swych posiadają utwory o tematach morskich lub osnute na tle morza, uprzejmie proszeni są o nadsyłanie materjału, odpowiedniego do *Antologji poezyj marynistycznych* (mającej ukazać się nakładem Głównej Księgarni Wojskowej) — pod adresem:

„W. Pan Antoni Dąbrowski, Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża nr. 21/23, Dla Zbigniewa Jasińskiego".

Książki nadesłane do Redakcji

POEZJA

JAN SZTAUDYNGER: *Kantyczki śnieżne*. Poznań MCMXXXV. Nr. 17 „Bibljoteki stu dwudziestu". Wydanie drugie.

WIESŁAW GORECKI: *Sonety*. Kraków 1929. Skł gł. u Gebethnera i Wolffa.

DRAMAT

WIESŁAW GORECKI: *Oszust*. Scena z życia w jednej odsłonie. Kraków, 1933. Bibljoteka Gazety Literackiej. Tom VIII.

WIESŁAW GORECKI: *Winda* i inne szkice sceniczne. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa.

WIESŁAW GORECKI: *Ostatnia przeszkoda*. Trio w trzech odsłonach. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa.

FILOZOFJA

BENEDYKT BORNSTEIN: *Architektonika świata (L'Architectonique du Monde)*. Tom II. *Logika geometryczno-architektoniczna (La Logique géomètro-architectonique)*. Warszawa 1935. Nakładem autora. (Bibliotheca Universitatis Liberae Polonae. Ser. B. Nr. 1/II [24/II])

GRAFIKA

Rocznik Polskiej Grafiki Reklamowej 1935. Pod redakcją komitetu w składzie: Prof. EDMUND BARTŁOMIEJCZYK, LUCJAN BOGUSŁAWSKI, WALDEMAR DOWNAROWICZ, TADEUSZ GALEWSKI, HENRYK MUND. (Warszawa 1935). Polska Agencja Telegraficzna.

PRAWO, NAUKI SPOŁECZNE

WACŁAW MAKOWSKI: *Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna*. Wyd. II. Warszawa 1934. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

DR. ANTONI CHMURSKI: *Nowa Konstytucja*, Warszawa 1935. Skł. gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa.

WŁADYSŁAW STUDNICKI: *System polityczny Europy a Polska*. Warszawa 1935. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

VARIA

ARTUR GÓRSKI (zebrał): *Myśli wybrane* — wygłoszone przed mikrofonem Polskiego Radja. Warszawa. Dom Książki Polskiej.

NOWI MILJONERZY



Mieszkańcy Gdyni, pp. Urbach i Izydor Prowalski, których podobiznę podajemy, są właścicielami dwóch ćwiartek losu nr. 72.450, na który w IV-ej klasie 31-ej Loterji padła wygrana miljon złotych.

Otrzymali oni po 200.000 zł., a w tej samej sytuacji znaleźć się może każdy, kto się zaopatrzy w los do 32-ej Loterji Państwowej. Ciągnienie I-ej klasy rozpoczyna się 19 lutego r. b.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.